Edward Baran – wspomnienie

13 lutego 1934 r., Lesko – 13 maja 2021 r., Angers (Francja)

Edward Baran na tle swojej pracy

Henryka Milczanowska

historyk sztuki, kurator

Fundacja dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989, Warszawa

> To, co ja dzisiaj odczuwam, patrząc po latach na te moje „beztroskie papiery”,

> na te ich szlachetną beznadziejność materii, która je tworzy, to pewien żal
> za straconym czasem – przeżytym, równie „wyrwanym” w moim życiu, dla
> pewniej poetyki plastycznej i wyrazu, które wdzierają się w strefę ustalonego
> konwencjonalnego „artyzmu”, i którą tak niewiele ludzi w ogóle zauważa,
> bo zostanie po moim życiu tak mało tego „t w a r d e g o”, wiszącego na solidnym gwoździu.
>
> *
> Edward Baran, maj 2019 r.

Gdy odchodzi Artysta, zostaje po nim pusta pracownia i Jego dzieła. To bardzo dużo! Całe bogactwo świata duchowego twórcy. Materialna obecność nieobecnego.

Znaliśmy się od pierwszej wystawy, którą mu aranżowałam w 2000 roku. W Muzeum Historycznym w Sanoku. W ogromnym XVI-wiecznym zamku trwały długie przygotowania do zawieszenia Jego obrazów, w większości wielkich rozmiarów, sześć na trzy metry. Pamiętam te emocje kiedy otworzyłam pierwszy obraz, rozwinęłam rulon i poczułam, jakby runął na mnie las. Tytuł dzieła: *Czy lubicie drzewa?* Czy lubię drzewa?!

Kocham ten obraz! Już wtedy to ogromne i zarazem delikatne w swej materii dzieło miało swoją ekspozycyjną, bogatą historię. Było prezentowane w 1980 roku na niezwykle prestiżowej wystawie *L'art aujourd'hui 1 (Kunst i dag 1)*, która odbyła się w 1980 roku w galerii *Ordurpgaar Samlingen* w Charlottenlund w Kopenhadze. Obok pracy Edwarda *Czy lubicie drzewa?* znalazły się tam rownież dzieła tak wówczas ważnych artystów francuskich, jak Pierre Buraglio, Jean-Michel Meurice, czy Claude Vialat. Naturalnie, po tym co zobaczyłam, czyli ponad 100 przywiezionych obrazów, byłam bardzo ciekawa Artysty! Przyjechał tuż przed wystawą i pierwsze o co poprosił, to o katalog wystawy, a w nim był mój tekst… Spacerowaliśmy po zamkowym dziedzińcu. On przeprosił, że się na chwile oddali, bo musi przeczytać na osobności. Usiadł na ławeczce, pochylony nad tekstem, czytał w skupieniu. Od tego dnia rozpoczęła się nasza długoletnia przyjaźń. Dwadzieścia lat rozmów głównie przez telefon, bogata korespondencja obfitująca w rozważania teoretyczne na temat miejsca jego malarstwa w sztuce. Było też kilka wizyt tam we Francji i tu w Warszawie. Kilka autorskich projektów wystaw w muzeach i galeriach w Polsce.

Niewątpliwie wcześniejsze wystawy w kraju, szczególnie ta w Zachęcie w 1991 roku, pt. *Jesteśmy* pozwoliła znów zaistnieć Artyście na polskiej scenie wystawienniczej. Wkrótce po niej zaproponowano mu wystawę indywidualną w Galerii Kordegarda, na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, a

stamtąd zachęcony otwartością przyjęcia i organizacji wystaw, zwrócił się w kierunku miejsca urodzenia i nawiązał kontakty z galeriami w Polsce południowo wschodniej. I tu skrzyżowały się nasze drogi, poglądy i rozumienie sztuki, którą kreował. Po sanockiej wystawie były kolejne miejsca, Galeria STUDIO w Warszawie, Galeria Grodzka w Lublinie i one dawały nadzieję na taką samą popularność sztuki Edwarda Barana w Polsce, jaką cieszył się we Francji. W 2009 roku najbardziej jak dotąd zaangażował się w organizację wystawy w Galerii West, w Warszawie, gdzie we wspólnym udziale dzieł dwóch polskich artystek Ariki Madeyskiej i Marii Papy Rostkowskiej niemal samodzielnie zaaranżował ekspozycję, przywożąc obrazy własnym samochodem z dalekiej Francji. Emocje, zaangażowanie, wiara w sens artystycznego powrotu do kraju i chęć udowodnienia, że jestem tu, działam miało swój wielki przekaz w tytule wystawy: *Oni wybrali Paryż.* Spotkanie po latach z dawnymi kolegami, przyjaciółmi, profesorami warszawskiej Akademii, przyniosło zawód i smutek. Brak porozumienia, a nawet niezrozumienia na płaszczyźnie twórczej i osobistej spowodował ponowne oddalenie się od ojczyzny.

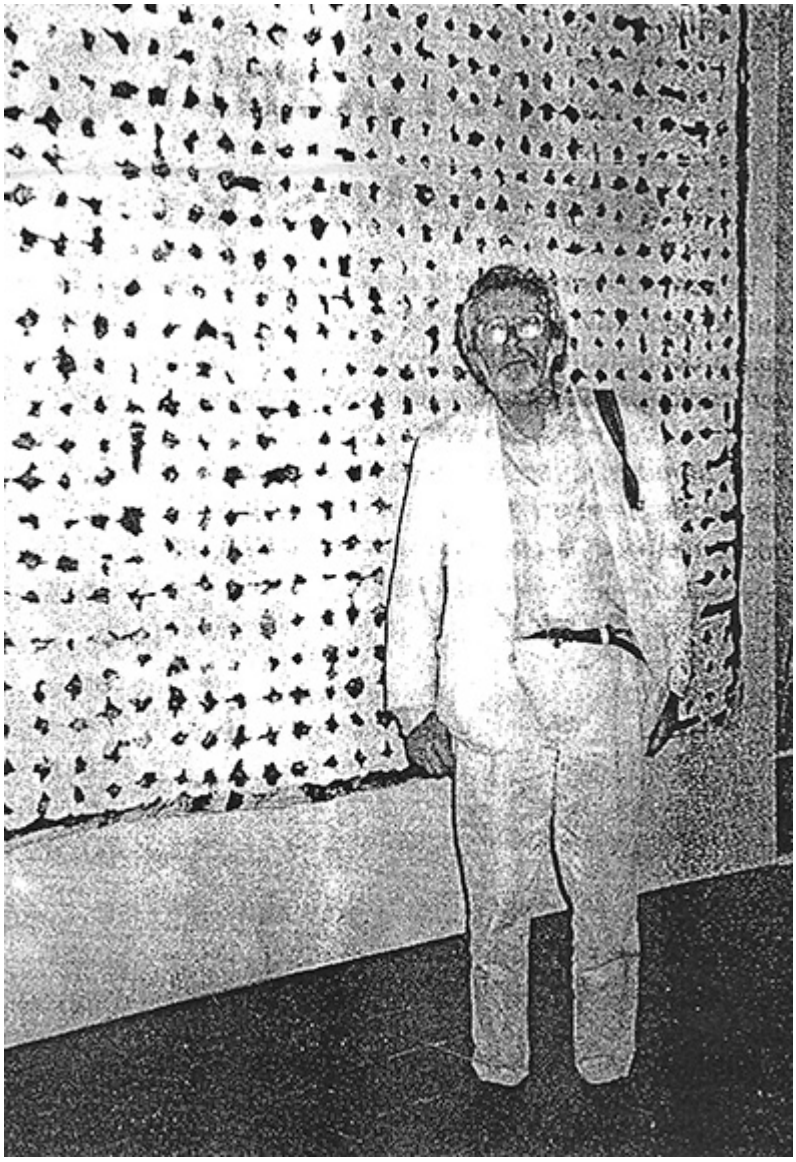

Edward Baran na tle obrazu „Czy lubicie drzewa”, przed wernisażem w Muzeum Historycznym, Sanok, 2000

Mijają właśnie dwa lata (2019) od ostatniej wizyty w kraju Edwarda Barana, która odbyła się przy okazji wystawy zorganizowanej we współpracy dwóch instytucji, Fundacji dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989 i Muzeum Papiernictwa w Dusznikach. Dzisiaj już wiemy, że była to ostatnia wystawa z udziałem Artysty, spotkanie z widzami, przyjaciółmi i rodziną. Takie małe pożegnanie, choć wówczas byliśmy pełni nadziei, że będą kolejne wystawy w Polsce, nowi odbiorcy, zainteresowanie

krytyki artystycznej, na której tak Artyście zależało. Krótko po tej wystawie pojawił się artykuł w „Culture Avenue”, szerzej prezentujący czytelnikom Dusznickie wydarzenie. Zawierał kilka cytowanych wypowiedzi Artysty o własnej twórczości, emigracji i wystawach, które były, a także o tych zaplanowanych, w których, jak dzisiaj wiemy, nie będzie uczestniczył.

W ostatnich kilkunastu latach, nie było nic tak świadomego w twórczości Edwarda Barana, jak poczucie uciekającego czasu, który niejako symbolicznie sam się „wplatał” w każdy kolejny nowopowstający obraz. Najbardziej było to widać w rozmiarach obrazów, były coraz mniejsze, bo dłonie były coraz mniej sprawne. Ostatecznie powrócił do klasycznego malarstwa, płótno i pędzel, jak wtedy, gdy na początku świadomie od niego odszedł – *bo taka zaistniała wtedy potrzeba, a teraz pędzel łatwiej utrzymać.*

Edward Baran i Henryka Milczanowska, 18 czerwca 2017 r.

Wernisaż w Muzeum Papiernictwa w Dusznikach 2019, Edward Baran i Ewa Bobrowska

***

Historia życia tego niezwykłego twórcy, malarza – emigranta jest wciąż niedostatecznie znana w kręgu odbiorców w Polsce. Obrazy są bardziej rozpoznawalne głównie ze względu na oryginalną technikę wykonania, pojawiają się w dużej liczbie na internetowych stronach międzynarodowych galerii, w relacjach z dawnych i aktualnych wystaw w muzeach. W latach 70. i 80. kiedy kariera artystyczna i zawodowa Edwarda Barana rozwijała się z sukcesami nie potrzebował szczególnej reklamy swoich działań. Liczne wystawy indywidualne, we Francji, Danii i Szwecji, otworzyły mu drogę do najważniejszych galerii w Europie. Stabilność finansową zapewniała Szkoła Sztuk Pięknych w Angers, gdzie podjął pracę w 1979 roku, na stanowisku profesora rysunku i kompozycji. Z czasem, jak powiadał świat się zmienia, komercjalizuje, a On nie dbał o swoją medialną popularność. Wierzył, że każdy kto posiada odrobinę wrażliwości i zrozumie sens jego sztuki, znajdzie drogę do niego i do Jego pracowni. W części katalogu wystawy, pt. *W przestrzeni papieru*, w Muzeum Papiernictwa w Dusznikach znajduje się *Kalendarium życia i twórczości Artysty*, w opracowaniu dr Ewy Bobrowskiej. Jest to jedyny wydany w języku polskim, tak szczegółowy opis życia Edwarda Barana z bogatym komentarzem autorki. Podczas wystawy Artysta został uhonorowany muzealnym tytułem *Ojca Sztuki Papieru w Polsce.*

*

Cytaty pochodzą z listów i nagranych rozmów autorki z Artystą.

O wystawie Edwarda Barana w Dusznikach:

> W przestrzeni papieru. Edward Baran.

Artysta i poeta. Tadeusz Turkowski.

Wspomnienie

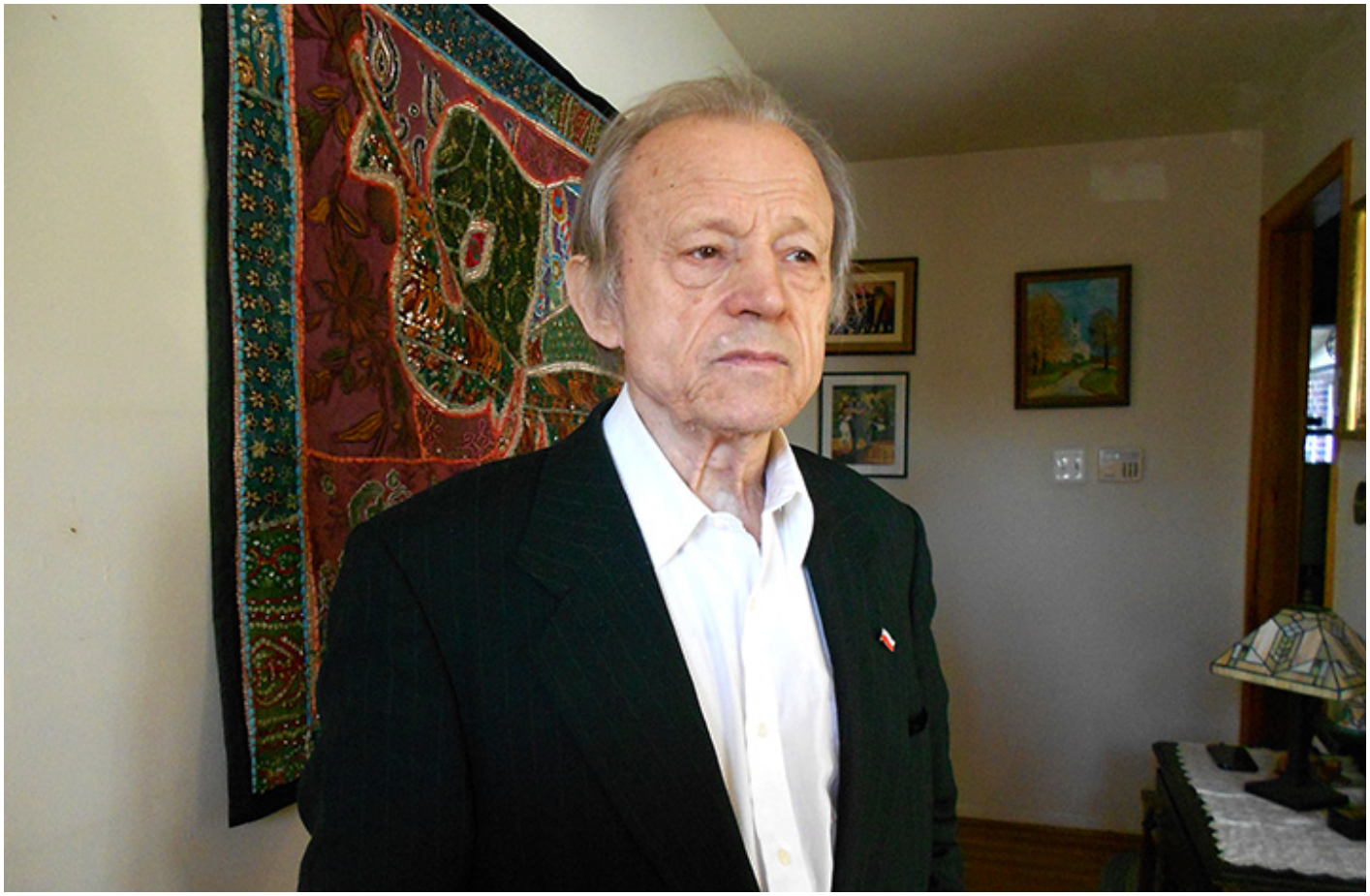

Tadeusz Turkowski w Wilmington, Delaware, fot. Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Aleksandra Ziółkowska-Boehm *(Wilmington, Delaware)*

Z Tadeuszem byłam głównie w kontakcie telefonicznym, czasami pisywaliśmy maile.

> Dziękuję za chwilę nieskończonej rozmowy dwa dni temu na Academy Road. Mam nadzieję, że będzie możliwe żebyśmy mogli się spotkać na trochę dłużej, żeby porozmawiać. Byłby to dla mnie wielki zaszczyt. Mam nadzieję, że nie zakłócam Pani spokoju. Może by to było możliwe jeszcze przed Pani

> wyjazdem do Polski.
>
> Pozdrawiam
>
> Tadeusz Turkowski

> Pani Olu!!!
>
> Jak się Pani czuje na tydzien przed odjazdem? Czy koty już wiedzą co ich czeka? Czy ma Pani juz zorganizowany dojazd na lotnisko? Skąd Pani odlatuje i czy Pani potrzebuje jakiejkolwiek pomocy?
>
> Pozdrawiam TT

Miłym wspólnym tematem były koty.

> Tadeuszu, kotek Sopelek rano się pojawił, siedział na parapecie okna.
> Otworzyłam drzwi, trochę zjadł, nie jest wygłodzony. Obszedł cały dom,
> otworzyłam drzwi do ogrodu – dałam mu kolejną porcję w ogrodzie.

> Część zjadł, część zostawił. Siedzi w ogrodzie i patrzy się na drzwi…

Odpowiedział:

> Olu -To dobra wiadomość.
>
> Stało sie tak jak przypuszczałem i wspomniałem w jednej z naszych rozmów.
>
> Widocznie doszedł do wniosku, że mu nigdzie nie będzie lepiej jak u Ciebie. Zadzwonię trochę później. TT

***

Tadeusz Turkowski miał piękny artystyczny życiorys – związany był między innymi z kabaretem „Hybrydy” w Warszawie. Przysłał swój biogram (jest na „Culture Avenue”):

Tadeusz Turkowski był aktorem legendarnego Studenckiego teatru “Hybrydy” w Warszawie w latach 1961-1973. Wraz z Janem Pietrzakiem i Janiną Ostalą występował w pierwszym programie kabaretowym „Kąpiel w Rubikonie” (1961). Następnie w programach kabaretowych Wojciecha Młynarskiego “Radosna

Gęba Stabilizacji” (1962) i “Ludzie to Kupią” (1963)). Jesienią 1963 roku Wojciech Młynarski odchodzi z teatru „Hybrydy”, do współpracy przychodzą: Jonasz Kofta, Stefan Friedmann i Maciej Damięcki. Zaczęła się era Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty. Wraz ze Stefanem Friedmannem i Maciejem Damięckim, Tadeusz Turkowski kontynuuje swój udział w programach kabaretowych Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty. Były to najlepsze lata kabaretu „Hybrydy”.

W czasie 12-letniej współpracy z teatrem „Hybrydy” Tadeusz Turkowski udzielał się również w licznych programach poetycko-muzycznych. Przyjaźnił się z wieloma młodymi poetami: Edwardem Stachurą, Zbigniewem Jerzyną, Barbarą Sadowską, recytując ich wiersze na spotkaniach autorskich.

W latach 1963 -1965 brał udział w Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Studenckich w Rouen we Francji i na Festiwalu w Istambule w Turcji.

Po siedmiu latach kierowania teatrem Jan Pietrzak odszedł z „Hybryd” i założył kabaret ”Pod Egidą” z profesjonalnymi aktorami (m.in. Wojciech Siemion, Barbara Kraftówna, Kazimierz Rudzki). Tadeusz Turkowski odziedziczył po nim funkcję kierownika teatru, którą pełnił aż do chwili wyjazdu z Polski w 1973 roku.

Teatr „Hybrydy,” jak sam twierdzi, był wielką przygodą w jego życiu. Równolegle studiował na wydziale Mechaniczno-Technologicznym Politechniki Warszawskiej, którą ukończył w 1966 roku.

Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych pracując w zawodzie jako inżynier, nigdy nie zerwał kontaktu z ukochanym językiem polskim i polską poezją. Od 40-u lat recytował polskie wiersze dla Polaków mieszkających w Ameryce. Uczestniczył w ponad 50-ciu różnego rodzaju spotkaniach i wieczorach poetycko-muzycznych. Występował w Polskich Fundacjach Kulturalnych, u Weteranów, w polskich klubach, kościołach, szkołach i w domach prywatnych. Występował również w Polonijnych Kabaretonach na Brooklinie organizowanych przez redaktora Janusza Szlechtę z „Nowego Dziennika”, między innymi z wybitnym muzykiem saksofonistą Krzysztofem Medyną.”

***

Szkoda, że nie miałam okazji wysłuchania Go w Salonach Artystycznych organizowanych w *Druch Studio Gallery* w Trenton, New Jersey. Natomiast wysłuchałam jego deklamacji wierszy w 100-lecie *Polskiego Uniwersytetu Ludowego (PUL*), które to uroczystości odbywały się w Domu Polskim przy Academy Road w Filadelfii w trzecią niedzielę marca 2019 roku.

Chyba byłam jedyną – lub jedną z niewielu osób, której się zwierzył, że sam także pisał wiersze. Przysłał mi kilka, przeczytałam i bardzo mi się spodobały. Dużo przy nich pracował, udoskonalał. Kilka wydrukowanych zostało w „Culture Avenue", internetowym piśmie poświęconym kulturze polskiej poza krajem. Prowadzi je Joanna Sokołowska-Gwizdka, autorka m.in. książki o Helenie Modrzejewskiej.

Wiersze, które czyta Tadeusz, są na internetowym *You Tube*. Nagrał je Tomasz Masłowski.

Wiersze Tadeusza Turkowskiego są przejmujące i piękne. Ładnie o nich napisała Marta Jóźwiak z Nowego Jorku (za pozwoleniem przytaczam jej opinię).

> Wiersz Tadeusza Turkowskiego „Śmierć ziemi" jest niezwykle poruszający. Przypomina w wymowie katastroficzne hymny Jana Kasprowicza. Jest jednak różnica. Tutaj autor nie oskarża Boga, inaczej – nie wadzi się z Bogiem, ale oskarża człowieka, niszczyciela Matki Ziemi. Co więcej, pokazuje człowieka w szerszym negatywnym świetle. Współczesny człowiek wcale nie brzmi dumnie. Ale jest w tym wierszu coś pięknego – sakralizacja i personifikacja natury – drzewa jako symbolu życia (…).

> Bardzo intrygujące są te wiersze i ten skierowany do kolegów i przyjaciół, podsumowanie i rozliczenie się z życiem artystycznym.
>
> Barokowe, ale jakże proste w formie są jego erotyki, pełne marzeń i wspomnień. Paralelne powtórzenia (anafory) *„Chciałbym”*, *„Z powrotem”* podkreślają siłę tych uczuć, które pozostają tylko pragnieniami.
>
> (Marta Jóźwiak, Nowy Jork)

***

Gdy wiersz „Pogrzeb ziemi” został umieszczony w „Culture Avenue” przed Wielkanocą 2019 r. napisał do Joanny Sokołowskiej-Gwizdka:

> Szanowna Pani Joanno
>
> Dziękuję. Właśnie przed chwilą przeczytałem wiersz i prawdę mówiąc, zaniemowiłem. Forma w jakiej go Pani opublikowała jest absolutnie reewelacyjna.. Delikatne przerwy między zwrotkami, rodzaj pisma, nadają temu wierszowi wyjątkowo subtelne i jednocześnie dostojne

> znaczenie. To, że został opublikowany odzielnie i ~~tylko~~ dzisiaj przed Świętami było bardzo ważne. Dzięki Pani i Oli dzisiejszy dzień jest dla mnie wyjątkowym dniem w moim życiu. Dziękuje i pozdrawiam.
>
> Tadeusz Turkowski.

***

Tadeusz miał czarną kotkę, która się okociła. Opowiadał o kociętach z wielką radością. Gdy podrosły, przekazał je do schroniska do adopcji.

Po nagłej śmierci Tadeusza… Jego kotka kilka dni była sama w domu, bez jedzenia. Telefonowałam do schroniska i na policję. Pomogli także przyjaciele Tadeusza – Joanna i Krzysztof Lada, wspólnie spędzali święta. Kotka została zabrana do schroniska w Trenton, NJ, gdzie oczekuje na adopcję.

Urodzony 16 czerwca 1937 roku – zmarł w lutym 2021 roku w Trenton, New Jersey. Nie znamy dokładnej daty. Zmarł w samotności.

***

Żal mi jego niepokazanych, nieukończonych, a także tych jeszcze nienapisanych wierszy, bo wierzę, że napisałby ich wiele.

Tadeusz Turkowski

Z POWROTEM

Z powrotem będzie dużo łatwiej

Z powrotem będzie z górki z wiatrem

*

Z powrotem się nie musisz martwić

Że sił ci może nie wystarczy

*

Że mi zasłabniesz gdzieś po drodze

Pełnej wybojów niepowodzeń

*

Z powrotem jeśli trzeba będzie

Zmęczoną wezmę cię na ręce

*

I ostrożniutko pod twą głowę

Podłożę chmurkę kolorową

*

Z powrotem nigdy, nigdy więcej

Nie zrani twego moje serce

*

Z powrotem zawsze, nawet we śnie

Ogrzeje w moich twoje ręce

*

Mądrzejszy, choć mniej zdarny trochę

> Nie spuszczę z oka Cię z powrotem
>
> *
>
> I serce moje rozszalałe
>
> Bić będzie cicho, albo wcale.

Tadeusz Turkowski (1937-2021)

Fotografie pochodzą z archiwum rodziny Turkowskich

- 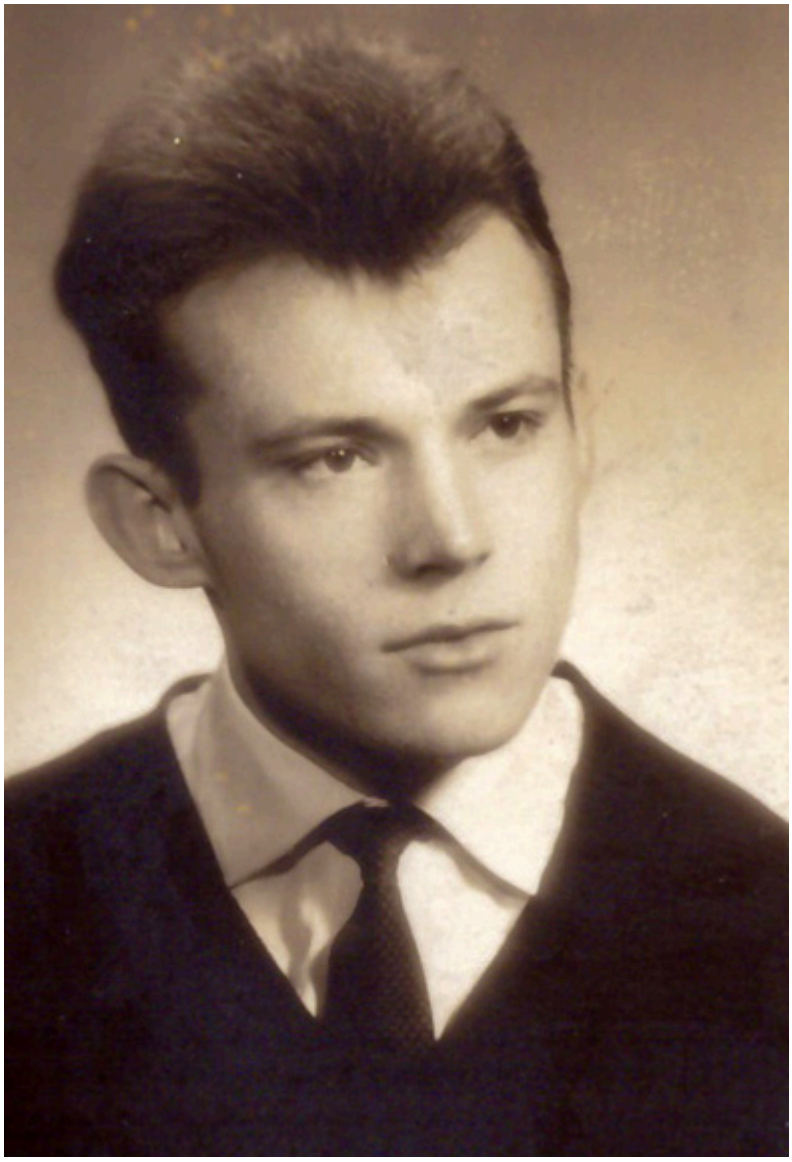

-

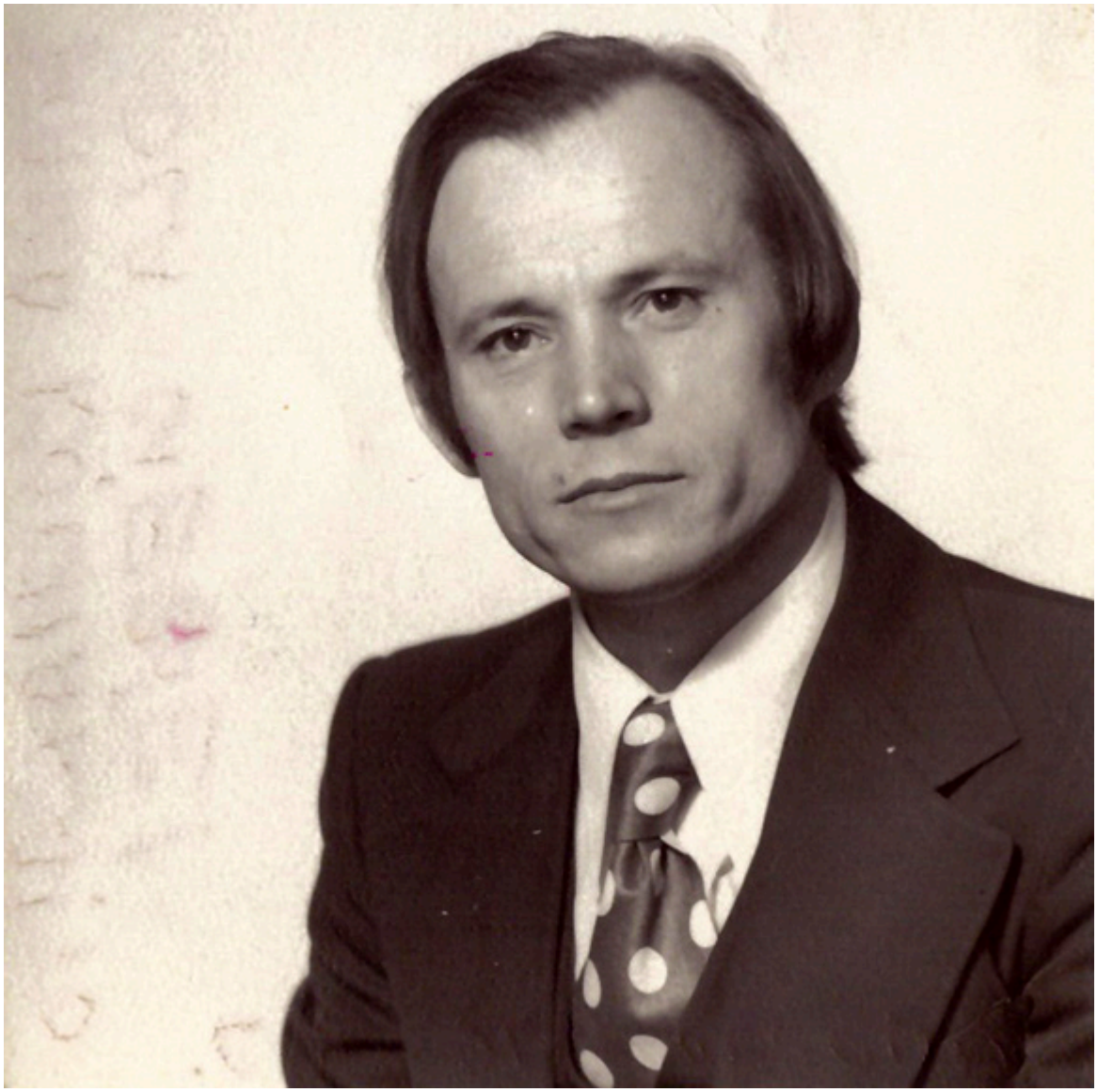

Wiersze Tadeusza Turkowskiego opublikowane w magazynie „Culture Avenue”:

> Wiersz „Pogrzeb ziemi”

> Zaduszki i inne wiersze

Młyn jak z bajki

Młyn wodny z Siołkowic Starych.

Włodzimierz Wójcik

Cóż może być bardziej dla mnie przyjemne niż wspominanie w te wiosenne roztopy, rozległych srebrnych plam falującego na lekkim wietrze, dojrzewającego żyta. Takie obszary malarskie

istnieją w mojej pamięci, która jest swoistą galerią znakomitych pejzaży. Pejzaży nie namalowanych, ale przecież utrwalonych. Póki żyję, żyją też – te z dawnych lat – żytnie kłosy, złote kłosy pszenicy, kłosy jęczmienia z kruchymi długimi wąsami oraz krótkie łodygi owsa, z drgającymi nerwowo ziarenkami. Pod koniec lata ten człowieczy urobek, po skoszeniu, wieziony był, po młócce, do młyna. Niektórzy ludzie lubią przesypywać z garści do garści złote monety, mnie wystarczyło zanurzać dłonie w ziarnach zboża wypełniającego kosmate szorstkie szare worki. Ciepło płynące z tych szlachetnych ziaren zapowiadało łagodną ciepłotę bochnów wyciąganych z chlebowego pieca opalanego klocami najszlachetniejszego drewna. Oczywiście, zanim ziarno zamieni się w nasz chleb powszedni, musi przejść bolesny rytuał spotkania z młynem, z szorstkimi dwoma kamieniami, obracającymi się w przeciwnych kierunkach, trącymi zboże, sypiącymi tak oczekiwaną mąkę...

Pojęcie młyna jest stare jak świat, a właściwie jak Biblia. Czytamy w piśmie Świętym: „Młyny boże mielą wolno, skrupulatnie i na miałko, a prawda jest jedna i nierozdwajalna". Maksyma ta zawiera dwie mądrości. Jedna powiada, że każda praca przyniesie owoce, jeśli jest wykonywana rzetelnie, bez szalonego pośpiechu, a w rezultacie dokładnie. Mądrość druga niesie pouczenie, że wcześniej czy później nasze czyny będą sprawiedliwie ocenione przez siły nadrzędne, na przykład boskie. Potrzebna jest tylko cierpliwość. Cierpliwość.

Tego rodzaju spostrzeżenia czyniłem od najwcześniejszych lat dzieciństwa, obserwując monotonny rytm pracy koła rzecznego młyna pana Kłapci „na Brzozowicy". Młyn stał przed skrzyżowaniem ulicy Siemońskiej (idącej z zachodu, z Łagiszy do Dąbrowy Górniczej), z Czarną Przemszą. Dwa brzegi rzeki łączył drewniany most z mocnymi poręczami. Od strony północnej masywnego budynku z bali drewnianych była platforma służąca przyjmowaniu worków z ziarnem. Od zachodniej strony młynarze wydawali mąkę. Od południa cierpliwie obracało się olbrzymie koło młyńskie poruszane wodą Czarnej Przemszy, do której wcześniej wpadała moja „domowa rzeka", Strumyk Psarski, często nazywany po prostu Psarką. Właśnie to koło uruchamiało napęd mechanizmów młyna.

Spadająca z wysokości, spiętrzona stawidłami woda rozpryskiwała się formując w powietrzu, gdy było słońce – ku mojej i moich rówieśników uciesze – wielobarwne tęcze. Z owego bajecznego „podemłynia" często biegaliśmy rozległymi łąkami pełnymi kwiatków polnych. Wielekroć, po przejściu rzecznej kładki, dostawaliśmy się na wzgórze, gdzie znajduje się będziński cmentarz, gdzie dzisiaj dzieciaki chodzą do swego teatru noszącego imię Dormana. Pamiętałem słowa ojca, że na tym cmentarzu leży pochowana jego matka, a moja babcia Jadwiga. Zmarła prze moim urodzeniem w domu rodziny Przyłuckich, zaledwie sto metrów od „naszego" młyna. Ten dom przez lata był miejscem spotkań rodzinnych. Słynna ulica Polna 2. Tu żył brat

mojego ojca Franek, ożeniony z Sabiną z Przyłuckich. Z ich córkami, Wiesią i Zosią oraz dzieciakami z okolicy bawiliśmy się tuż przed 1939 rokiem, w czasie okupacji i po wojnie. Bezustannie ciągnęło nas do czarodziejskiego młyna.

Stróż całej posiadłości państwa Kłapciów, postukując sękatą laską, obchodził zabudowania i podśpiewywał, ni to sobie, ni to nam, dowcipną piosenkę:

> Gdzie żeś ty bywał, czarny baranie?
>
> We młynie, we młynie, mościwy panie.
>
> Cóżeś tam robił, czarny baranie?
>
> Meł mąkę, meł mąkę, mościwy panie.
>
> Cóżeś tam jadał, czarny baranie?
>
> Kluseczki z miseczki, mościwy panie.
>
> Cóżeś tam pijał, czarny baranie?

> Miodeczek i mleczko, mościwy panie.
>
> Gdzieżeś uciekał, czarny baranie?
>
> Hopsasa do lasa, mościwy panie.

Kiedy jako dzieciaki schodziliśmy z ulicy Polnej, czyli z dość wysokiej skarpy nad wyrównaną już poniżej młyna taflę Czarnej Przemszy, która – wbrew nazwie – miała błękitną czystą wodę, zabawom nie było końca. Często, biorąc się za ręce, śpiewaliśmy:

> Koło młyńskie za cztery ryńskie; koło nam się połamało, żyto nam się wysypało, a my wszyscy bęc na ziemię. Komu, komu, bo idę do domu?!

Jeden z młynarzy, pan Paweł dogadywał rolnikom przywożącym do zmielenia żyto czy owies: „Masz mało ziarna, posyp je swej kurze, masz dużo ziarna, zanieś je do młyna". Dla przydomowego drobiu gospodarze zwykle mieli jakieś resztki, czyli po prostu ziarno z plewami. Było oczywiste, że kura czy kurczak znajdzie to, co mu jest potrzebne. Czyste, owiane i wysuszone zboże wieźli – jak mówiono – „na Brzozowicę".

Na północ od młyna stał dom mieszkalny w olbrzymim sadzie drzew owocowych. Znajdowała się tam także słynna piekarnia Kłapci. W czasie okupacji cały ten majątek przeszedł pod nadzór władz niemieckich. Pan Kłapcia był zaledwie pracownikiem. Nam się to opłaciło. Oto bowiem jego syn Staszek podkradał z kantoru kartki na chleb i z łobuzerskim uśmiechem szczodrze nas nimi obdzielał. Wypieki z tej piekarni, wielekroć nazywane przez nas „kłapciokami", były po prostu niebiańskie. Zwłaszcza te z podsypką.

Tę bajeczną krainę mojego dzieciństwa zmieciono z powierzchni ziemi wówczas, gdy zaczęto budować odkrywkową kopalnię węgla kamiennego. Niestety węgla nie było wiele. Wówczas

nastąpił proces odwrotny. Ogromny dół zaczęto zasypywać odpadami przesyłanymi z Elektrowni „Łagisza”. Dzisiaj z wielu stron przechodzę wokół tej niemal martwej przestrzeni, która dawniej była oazą bujnego i pięknego życia. Od łagiskiego skrzyżowania ulicy Odkrywkowej – dawnej Siemońskiej – z ulicą Pokoju wiodąca ku Siewierzowi i Warszawie – udaję się w kierunku dawnego młyna pana Kłapci. Po niecałym kilometrze zastaję betonową zaporę. Tam za nią jest gruzowisko i czające się niebezpieczeństwo. Okazuje się, że teren jest jeszcze nie uporządkowany. Nie w pełni ożył, a już ktoś ponownie chce go zamordować, planując budowę fabryki asfaltu. Okoliczni mieszkańcy mają tego dość. Ostro protestują. Pomagają im w tym samosiejki brzóz, które coraz śmielej wdzierają się w szarzyznę poranionej ziemi. Minęły dziesięciolecia, a to wszystko, co było źródłem moich i naszych dziecięcych doznań spod koła młyńskiego młyna pana Kłapci, żyje w moim sercu.

Nie płacz. Idź.

Grzegorz Królikiewicz w swoim mieszkaniu, 2015 r., fot. M. Kuźmicki.

Mieczysław Kuźmicki

Ze śmiercią Grzegorza Królikiewicza skończył się wyjątkowy rozdział polskiego filmu. Pożegnaliśmy artystę, po którym pozostają: pamięć i jego dzieła – wszystkie ważne, bo mówił do nas, bo odnajdziemy tam jego myśli, przesłanie. A potrafił sprawić, że na długo pozostawaliśmy z jego wizją. Od etiud filmowych i dokumentów, aż po filmy fabularne i widowiska telewizyjne. Po premierze ostatniego filmu fabularnego „Sąsiady” powiedział: „Człowiek odbierający mój utwór jest jak perłopław, któremu wsączam ziarno piasku, a on otorbia tę kruszynkę i nosi w sobie perłę”.

Tak komentował milczenie publiczności, jakie najczęściej towarzyszyło pokazom jego utworów. Sam uczestniczyłem kilka razy w takiej zbiorowej ciszy: zapalały się światła, wszyscy milczeliśmy, bo mieliśmy – ja miałem – poczucie otarcia się o absolut.

Mówił: „Pracuję dla przyszłości" i z tych słów uczynił swój znak rozpoznawczy, nieledwie motto wszelkiego działania artystycznego i dydaktycznego.

Urodził się 5 czerwca 1939 w Aleksandrowie Kujawskim, dzieciństwo i młodość spędził w Piotrkowie Trybunalskim, życie dojrzałe związał z Łodzią. Tu w 1962 ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Łódzkiego, w 1967 został absolwentem Wydziału Reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej. Od 1976 do 1978 kierował telewizyjną Redakcją Faktu, w latach 1981-1983 był kierownikiem artystycznym Zespołu Filmowego „Aneks". W 1981 zaczął działalność pedagogiczną w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej, dochodząc do stanowiska profesora zwyczajnego (1993) na Wydziale Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej. Kierował jako szef artystyczny Teatrem Nowym w Łodzi w latach 2003-2005. Był członkiem Polskiej Akademii Filmowej. Zmarł 21 września 2017, a 2 października został pochowany na Starym Cmentarzu w Łodzi.

Grzegorz Królikiewicz, fot. Tomasz Komorowski.

W fabule debiutował obrazem „Na wylot” (1972) i był to jeden z najbardziej oryginalnych artystycznie filmów, jakie powstały wówczas nie tylko w polskim kinie. Co najdobitniej potwierdzają nagrody i wyróżnienia festiwalowe, jakie dzieło i jego twórcy otrzymali. Ale już wcześniej, jeszcze jako student, dał się zauważyć etiudami („Każdemu to, czego mu wcale nie trzeba”, 1966) i dokumentami. Wśród tych ostatnich impresja o odjeżdżających do wojska chłopakach („Nie płacz”, 1972) została dobrze przyjęta i nagrodzona na festiwalu w Krakowie, co niestety nie było udziałem jego właściwego debiutu kinowego – dokumentu „Mężczyźni”. Nakręcony w 1969 film pokazuje życie rekrutów wcielonych do jednostki wojskowej, jak w czasie szkolenia każdy chłopak staje się elementem zautomatyzowanej zbiorowości mężczyzn. Zdaje się, że reżyser pokazał wojsko nie tak, jak życzyliby sobie decydenci, dlatego premiera mogła odbyć się dopiero po dwudziestu latach, u progu demokratycznych przemian, a na festiwalu w Koszalinie jury wyróżniło reżysera nagrodą za debiut w filmie krótkometrażowym!

Paradoksów związanych z twórczością i działalnością Grzegorza

Królikiewicza jest zresztą więcej, a jednym z nich jest fakt bycia jednocześnie ornitologiem i ptaszkiem. Nasz profesor Bolesław Lewicki, legendarny twórca łódzkiego filmoznawstwa, miał zwyczaj powtarzać, że czym innym jest badanie ptaszka, czym innym zaś bycie nim. Konkluzją było, że nie można latać i jednocześnie analizować procesu latania. A Królikiewicz to potrafił! Realizował filmy, ale jednocześnie tworzył własną teorię filmu. I w autorskich obrazach czasami badał na ile to, co teoretyczne, może zostać wykorzystane w kreacji artystycznej. Jego manifest artystyczny „Przestrzeń filmowa poza kadrem" („Kino" 1974 nr 8) może być doskonałym przewodnikiem dla wszystkich chcących lepiej odczytać sensy większości obrazów fabularnych reżysera, których zrealizował dziewięć. Wśród nich te najgłośniejsze to poza debiutem także „Wieczne pretensje", „Tańczący jastrząb", „Zabicie ciotki", „Klejnot wolnego sumienia", „Fort XIII", „Przypadek Pekosińskiego" i ostatni, najbardziej może osobisty, empatyczny wobec bohaterów przedstawionego świata – „Sąsiady".

Jego teoretyczne przemyślenia, w jakimś sensie artystyczne *credo* spisane na papierze, znalazły się w jego książce „Off czyli hipnoza kina". Ale tę swoją pasję ujawniał także, analizując dzieła mistrzów. Pozostawił książki i skrypty, w których poddawał rozbiorowi dzieła i ich twórców. „Różyczka" (o „Obywatelu Kane" Wellesa), „Góra stoi!" („Sobowtór" Kurosawy), „Wielka kamienna twarz" („Generał" Bustera

Keatona), „Anty-Faust” („Zawód reporter” Antonioniego), „Kłopot z Fellinim” – to kilka wybranych tytułów z serii, jaką sobie wymarzył i częściowo zrealizował w czasie pracy dydaktycznej w Szkole Filmowej.

Wspomnianemu wcześniej prof. Lewickiemu poświęcił film dokumentalny „Wiesz, jak jest”, innemu ze swoich mistrzów prof. Jerzemu Toeplitzowi – dokument „Człowiek środka”, reżyserowi Januszowi Nasfeterowi – „Portret artysty z czasów starości”, swego przyjaciela mecenasa Andrzeja Kerna sportretował w filmie „Kern”, reżysera dokumentalistę, żyjącego do śmierci w Kanadzie emigranta pomarcowego Tadeusza Jaworskiego przypomniał w dokumencie „Wieczny tułacz”.

Kino dokumentalne było dla niego ważne, zrealizował wiele obrazów o polskich patriotach, ludziach wiernych, szlachetnych i właśnie dlatego mordowanych i prześladowanych, skazanych na zapomnienie. Z takiej samej narodowej i patriotycznej inspiracji tworzył wielkie widowiska telewizyjne: „3 Maja”, „Kronika polska Galla Anonima”, „Idea i miecz”, „O coś więcej niż przetrwanie”, „Sąd nad Brzozowskim”.

Wielkie wrażenie i niemal narodową dyskusję wywołała emisja jego „Fausta”, widowiska telewizyjnego wg Goethego. Ale ten twórca zawsze umiał wywołać ferment, trafić do widza, umiał też tak postępować z decydentami, że pozwalano mu na artystyczne

eksperymenty z klasykami albo podejmowanie tematyki narodowej, często nieobecnej nie tylko w mediach, ale i w sztuce.

Poza widowiskami i spektaklami telewizyjnymi, filmami fabularnymi i dokumentalnymi, wśród których jest też poetycki obraz „Idź”, który chciałbym, aby stał się przesłaniem tego wspomnienia, pozostawił wiele innych śladów. Jest wśród nich wywiad rzeka „Królikiewicz. Pracuję dla przyszłości” Piotra Kletowskiego i Piotra Mareckiego. Warto sięgnąć do niego, żeby w artyście zobaczyć też człowieka.

Od lewej: Grzegorz Królikiewicz, Beata Tumkiewcz (kostiumolog) i Feridun Erol (reżyser filmowy i tv), po pokazie filmu „Sąsiady”, grudzień 2014 r., fot. Janusz Sobolewski.

Artykuł ukazał się w miesięczniku „Kalejdoskop. Magazyn kulturalny Łodzi i województwa łódzkiego”. Za udostępnienie tekstu dziękujemy redaktorowi naczelnemu Łukaszowi Kaczyńskiemu.

Zakamarki pamięci – wspomnienie o Marku Hłasce

Marek Hłasko, 1958 r. fot. Getty Image

Piotr Guzy (1922-2018)

Hiszpania

Mieszkalem w tym czasie w Monachium, pracowałem w rozgłośni polskiej radia Wolna Europa. Partie poniższego tekstu są częściowo przepisane z prowadzonego wówczas dziennika.

Pod datą 16 czerwca 1969 zapisałem: Od trzech tygodni czekałem codziennie na telefon od niego, dzwonek przy drzwiach: może on? Na ulicy rozglądałem się uważnie, może go

gdzieś spotkam? Trzy tygodnie temu wspólny znajomy powiedział mi, że była żona Marka, znana aktorka filmowa, Sonja Ziemann doniosła mu, że Marek wrócił z Ameryki i razem zamieszkają na kilka miesięcy w Monachium, gdzie bodaj Sonja miała kręcić jakiś film. Pytałem, czy wie z jakiego hotelu dzwoniła, nie wiedział. Zastanawiałem się, czy nie dzwonić po hotelach, szukać go, ale to jak igła w stogu siana.

Rano zadzwonił Wiesio Piekarczyk, że Marek nie żyje, umarł w sobotę (14 czerwca) w Wiesbaden, okoliczności nieznane, wyklucza się możliwość morderstwa. Wstrząśnięty bólem – płakałem. Przez uchylone drzwi zobaczyłem tego ubeka z parteru, jak szedł chodnikiem. Takie skurwysyny żyją, a taki piękny człowiek, jak Marek, umiera w szczenięcym wieku 35 lat. Przez cały dzień bylem przybity, milczałem, słowa nie potrafiłem z siebie wydusić, miałem ciśnienie w piersiach.

Po południu Wiesio zadzwonił z dalszą wiadomością: Marek umarł na skutek zażycia tabletek nasennych w pijanym widzie. Nie wiadomo kiedy będzie pogrzeb, przypuszczam, że pojutrze, bo jutro jest święto jedności (rocznica wybuchu powstania w Berlinie wschodnim w roku 1956) – pojadę. Tak czekałem na niego, tak chciałem się z nim spotkać, może by nie doszło do tej głupiej, niepotrzebnej śmierci. Byliśmy z tego samego pokolenia literackiego, poznaliśmy się bodaj w l951 roku na zjeździe młodych pisarzy w Oborach. Jego śmierć to tak jakby ktoś okroił

mnie o jakąś część mojego własnego ciała. Dopóki żył wiedziałem, że nie jestem sam, teraz – taka strata dla literatury. „Sowa córka piekarza” była najlepszą powieścią jaką dotąd napisał. Największy pisarz naszego pokolenia – miał przed sobą jeszcze 50 lat twórczości – mierzyłem się z nim, szukałem jego uznania. Pod wieczór poszliśmy z Ishbel (moją żoną) na piwo do Schwabinger Treffpunkt, cały czas miałem łzy w oczach. Skupiłem się w sobie metodą yogi i uspokoiłem się na dobre. Wieczorem u Dobków, już mogłem spokojnie o nim mówić.

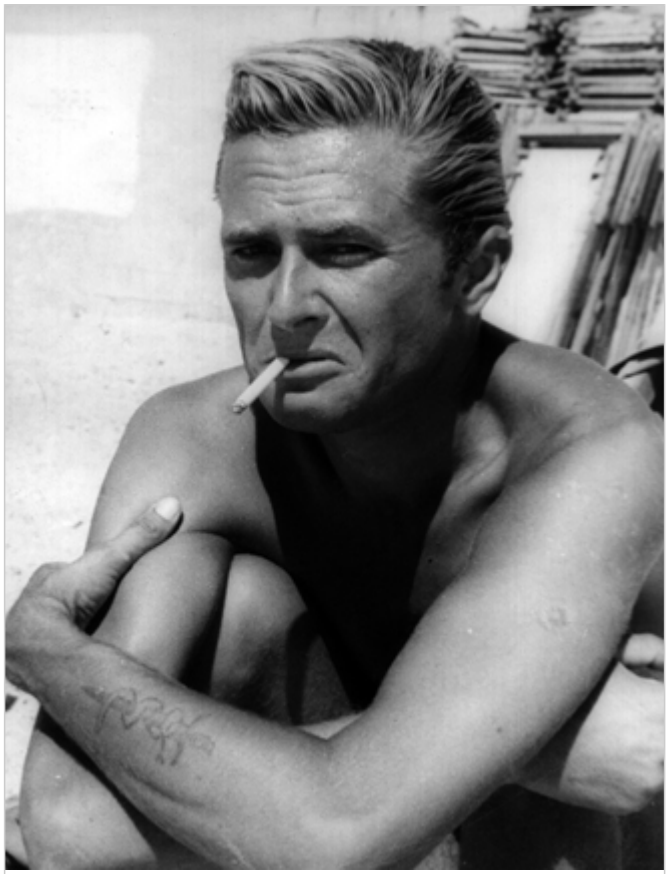

Marek Hłasko, fot. Archiwum Marka Hłaski

Przyszedł Czesio i powiedział, że pogrzebem Marka zajmuje się Bożękowski – dał mi jego telefon – dowiem się szczegółowo, jeśli nie ma jeszcze pasażera na wolnym miejscu w jego wozie, to może mnie zabierze.

Bożękowski będzie jutro rano dzwonił na policję w Wiesbaden, dowie się kiedy będzie pogrzeb. Niestety mnie nie będzie mógł zabrać, bo Barbara Nawratowicz już wczoraj prosiła, żeby ją wziął ze sobą. Nic nie szkodzi, pojadę pociągiem.

Spałem w ubraniu na tapczanie w moim gabinecie. Zadzwonił telefon: Bożękowski. Byłem kompletnie pijany, przerwa w życiorysie, nie rozumiałem co się stało. Potem Ishbel opowiedziała: wieczorem poszliśmy do Schwabinger Treffpunkt na piwo, dołączył do nas ksiądz (duchowny opiekun pracowników radia), potem przyszli Wilczyńscy. Dalej chlanie, potem wróciliśmy wszyscy do nas, ksiądz przyszedł z Kazikiem Wilczyńskim, wypiliśmy prawie całą butelkę rumu austriackiego, hałasowałem na klatce schodowej i zbudziłem sąsiada, pana Bożęckiego. Po południu kupiłem bukiet kwiatów i zaniosłem z przeprosinami. Jeśli nie będę na siebie uważał, to zniszczy mnie alkohol.

*

Wyjazd z Bożękowskim do Wiesbadem. Jechaliśmy jego „proszą”,

cały czas w deszczu, okropne.

Wzięliśmy pokój w hotelu Silvana na Kapellenstrasse 4, ja płaciłem: 100 marek plus 12 za telefon. W zachowanym do dziś dzienniku mam wklejony kwit. Sonja zatrzymała się w hotelu Schwarzer Bock, gdzie można brać kąpiele błotne.

Powiedziała nam przy pierwszym spotkaniu, że jeśli byłoby konieczne jechać taksówką, to mamy pamiętać, żeby od kierowcy wziąć pokwitowanie. To się jej przyda przy obliczaniu podatku dochodowego. Powiedziałem, że z całą pewnością tak uczynimy. Już rozwiedziona z Markiem, ale tu na jego pogrzebie występowała jako *ehemalige Frau Marek Hlasko*. Sonja od stóp do głów przebrała matkę Marka, panią Marię Gryczkiewicz, gdy ta tu przyjechała. Miała ją u siebie w pokoju, dzwoniła do najbardziej wykwintnego składu w mieście i kazała przynieść wyszczególnione artykuły damskiej odzieży. Jeżeli coś nie pasowało, zwracała i przynosili nowe.

Marek Hłasko z żoną, niemiecka aktorką Sonją Ziemann, fot. East News.

20 czerwca, pogrzeb Marka na Sudfriedhof. Szedłem za trumną wiezioną na czterokołowej taczance. Sporo ludzi, przeważnie

związanych z kinem, teatrem. Był Moll z wydawnictwa Kiepenheuer und Witch z Eriką, jego żoną, jakaś para aktorów, ona Niemka, on Holender, Bożękowski, no i ja. Myślę, że było w sumie jakieś dwadzieścia osób. Bardzo szybko spuszczono trumnę do wykopanego już dołu, zasypano ziemią, na górze zrobił się wcale pokaźny kopiec, na nim wieńce, dużo wieńców. Na ten kopiec rzuciła się matka Hłaski, pani Maria Gryczkiewicz, szeroko rozłożonymi rękami objęła grób, w potężnych spazmach łkała, płakała, całym ciałem zespolona z tym kopcem, rękami jakby rwała tarninę, jakby chciała dorwać się do samej ziemi, wniknąć do samej trumny, rozerwać ją, to było żenujące.

Wieczorem obiad w hotelu Schwarzer Bock, zaprosił nas Moll, był redaktorem utworów Marka w wydawnictwie Kieppenheuer und Witch, jego żona Erika, była też ta aktorska para holendersko-niemiecka, jeszcze kilka osób, potem wstaliśmy wszyscy od stołu i przeszli do baru, gdzie piliśmy do piątej nad ranem.

*

Moja teoria śmierci Marka była taka. Marek miał w Izraelu dziewczynę, Esther Steinbech(?), którą kochał. Były pogłoski, że miał z nią dziecko. W czasie fatalnej nocnej popijawy miał w kieszeni bilet lotniczy do Tel Awiwu. Miał tam lecieć następnego

dnia. Zadzwonił do Sonji do Berlina, że na zlecenie telewizji niemieckiej będzie kręcił film w Izraelu. Sonja wiedząc, że Marek zamierza lecieć do Iraela, zadzwoniła do gospodarzy, żeby za żadną cenę nie pozwolić Markowi wyjechać, róbcie co chcecie, tylko żeby został u was, ja przylecę i będę na miejscu przed południem. A Marek pił, zresztą wszyscy pili, ale Marek pił najwięcej, bez umiaru. W takiej sytuacji ktoś mógł mu dać tabletkę nasenną, może dwie, włożyć do szklanki z alkoholem, by się upewnić, że zaśnie i będzie spał do czasu, gdy Sonja już tu będzie. Czy była obdukcja, nie wiem, ale chyba nie.

Opowiadała mi pani Maria, że poszła z Sonją na policję odebrać pozostałe po Marku dokumenty, paszport i w ogóle jego papiery. Otóż jak tylko te papiery znalazły się na powierzchni biurka, Sonja bardzo szybko złapała bilet i poleciała z nim do toalety, gdzie go zniszczyła.

I to byłoby wszystko co było – moim zdaniem – warte zapamiętania i zamieszczenia w prowadzonym wtedy, chociaż nieregularnie, dzienniku.

*

A z innej beczki: niecałe dwa tygodnie później amerykańscy astronauci Armstrong i Aldrin, na pokładzie statku kosmicznego Apollo Jedenaście, wylądowali na księżycu.

Władysław Mickiewicz – syn wielkiego ojca

Stanisław Wyspiański, Portret Władysława Mickiewicza, pastel, 1904 r.

Władysław Pomarański

Był on drugim z sześciorga dzieci Adama Mickiewicza. W swoich pamiętnikach pisze prosto i szczerze: „Jedyną moją zasługą jest to, że byłem synem wielkiego ojca”. To zbyt skromna ocena: zrobił dużo dobrego nie tylko promując ojca, ale także będąc czynnym, szanowanym społecznikiem.

Podobne sytuacje w rodzinach w których jedno z rodziców jest osobą utalentowaną, znaną, stają się dużym obciążeniem dla tych dzieci, które idą tą samą drogą co rodzic nie mając jego talentu, przeżywają rozczarowanie, niekiedy dochodzi do tragedii. Najlepszym wyjściem jest wybór przez dziecko innego zajęcia czy

zawodu. Władysław dokonał właściwego wyboru w swym życiu. Nie poszedł w ślady ojca, bo nie miał szans mu dorównać, nie pisał wierszy, nawet wprost nie zajmował się poezją ojca, ale pisał o nim dużo, ciepło, bo cenił jego geniusz.

Ma on wielkie zasługi nie tylko jako działacz społeczny i polonijny wśród tak zwanej „Wielkiej Emigracji" we Francji, ale i dlatego, że pilnie obserwował i notował w swych pamiętnikach wszystko to, co się naokoło niego działo, a działo się dużo: Władysław żył długo, zmarł w wieku 88 lat. „Iskry" w 2012 roku wydały jego „Pamiętniki" liczące ponad tysiąc stron. Pozycja ojca jako wybitnego poety, szanowanego i podziwianego człowieka nie tylko przez Polaków, ale Francuzów, Szwajcarów, Włochów, Turków, Rosjan, Węgrów, Rumunów i innych pomogła mu w nawiązywaniu bliskich kontaktów z bardzo wieloma słynnymi ludźmi: politykami, pisarzami, działaczami społecznymi, nawet naukowcami. Władysław Mickiewicz mając bliskie kontakty z nimi podaje szczegóły, niekiedy dość intymne z ich życia, do których nie mieli dostępu zawodowi historycy. Oto kilka z wielkich nazwisk: Adam Jerzy Czartoryski (jego ojciec chrzestny), Maria Curie-Skłodowska, Giuseppe Garibaldi, Aleksander Dumas, Wiktor Hugo, Aleksander Hercen, przyjaciele ojca jeszcze z czasów studiów w Wilnie: Ignacy Domeyko, Aleksander Chodźko i wielu innych. Nawet znał osobiście i dzięki swoim wpływom spowodował zwolnienie z więzienia w kolonii karnej Aleksandra Berezowskiego, zamachowca na życie cara

Aleksandra II.

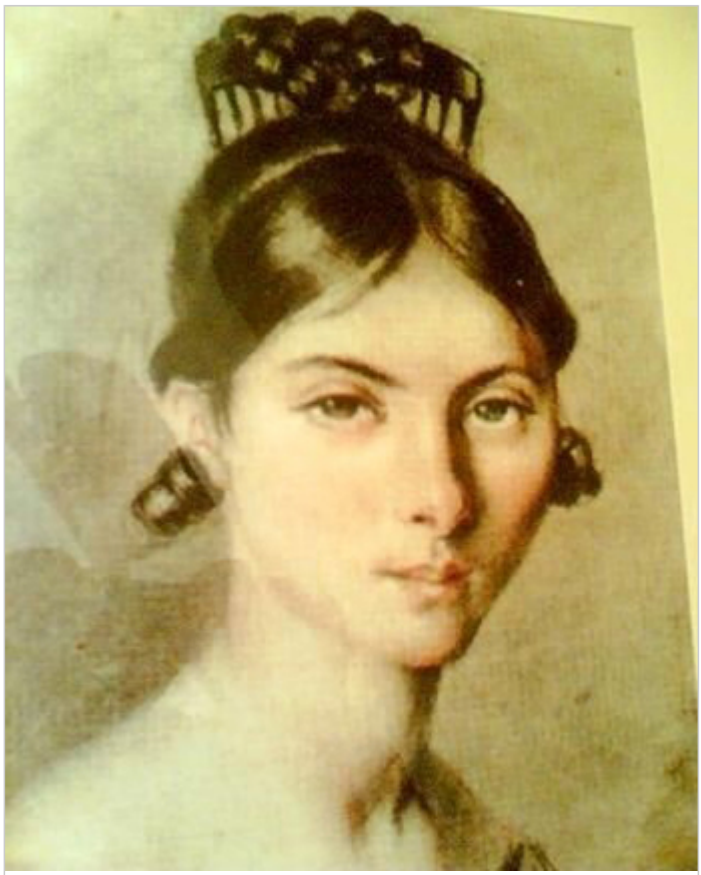

Celina, matka Władysława Mickiewicza.

Władysław do ojca miał szacunek i podziwił jego talent poetycki, ale chyba go nie kochał, co można wyczytać między linijkami „Pamiętników”; matkę Celinę z Szymanowskich szczerze kochał i podziwiał. Jego ojciec wyłania się z kart jego dzieła, jako nieco inna osoba, niż ta opisywana przez biografów poety. Czytając innych odnosi się wrażenie, że jego psychicznie chora żona była dla niego wielkim obciążeniem w życiu, to prawda, ale faktycznie

według świadectwa syna nie trudno dojrzeć sugestie, że i jej mąż nie był bez winy w procesie rozwoju jej choroby psychicznej. Wiemy że oddał ją do szpitala psychiatrycznego, w owych czasach ponurej i okrutnej wykańczalni, gdzie leczono chorych straszeniem, odbieraniem im snu i polewaniem zimną wodą. Dopiero dzięki Andrzejowi Towiańskiemu wróciła do domu, jego silna osobowość spowodowała, że wychodziła z zapaści, wtedy powracała do względnie normalnego życia. Poeta spał ze służącą, która urodziła mu córkę i mimo nalegania żony nie zwolnił jej ze służby. Całe życie byli biedni, niekiedy żyli w nędzy, tak że w pewnym okresie musieli korzystać z materialnej pomocy jednego z jego czterech braci. By nie pogrążać ojca Władysław pisze, że on nigdy nie był głodny, ale przyznaje, że żyli z dnia na dzień, brakowało odwagi by pomyśleć o jutrze. Finanse domowe, wyżywienie rodziny, opieka nad dziećmi to była domena matki, jej mąż spędzał większość czasu na pisaniu, spotkaniach, zebraniach, występach. Spotykał się z wielkimi tego świata, zachwycał ludzi swą patriotyczną poezją i postawą. Ona ponosiła trudy dnia codziennego. Dopiero gdy dostał pozycję profesora literatury łacińskiej na uniwersytecie w Lozannie, a potem pozycję profesora w nowo założonej Katedrze Nauk Słowiańskich na Sorbonie, warunki materialne rodziny poprawiły się nieco, ale nie na długo.

Rodzina Mickiewiczow.

Tragicznym wydarzeniem dla poety i jego czytelników i przyjaciół było związanie się z Andrzejem Towiańskim, mistykiem i marzycielem, który zgromadził w Paryżu koło siebie grupkę zwolenników, stworzył coś w rodzaju swoistej religii, która miała być jedyną metodą nie tylko wyzwolenia krajów uciemiężonych i przywrócenia polskiej państwowości, ale zaprowadzić wieczny pokój na świecie. Tezy tej doktryny były tak nierealistyczne, niezwarte, że trudno zrozumieć dlaczego Adam Mickiewicz, wspaniały poeta, ale także wykształcony inteligent, dał się

omamić temu człowiekowi. Zaraz po przejściu na towianizm został pozbawiony pozycji profesorskiej – choć syn twierdzi, że z niej zrezygnował – bo zamiast o historii i kulturze Słowian, coraz więcej zachwycał się Napoleonem, (rzecz bardzo niepopularna w ówczesnych kołach rządowych), i coraz bardziej wciskał do wykładów tezy Towiańskiego. Po przepędzeniu Towiańskiego z Francji, poeta przejmuje kierownictwo nad tym dziwnym mistycznym ruchem: to coś na pograniczu sekty religijnej, loży masońskiej i skrajnego nacjonalizmu. Jako nowy „mistrz" przyjmuje nowych członków do grona „wtajemniczonych", przewodniczy tajnym sesjom o charakterze pseudoreligijnym i prawie masońskim, jest krytyczny wobec prawie wszystkich władców Europy oraz papiestwa. Ten skrajny zwrot życiowy odcina go od dawnych przyjaciół, staje się nieprzydatnym w akcjach społecznych, kończy się jako poeta – od tej pory nic wartościowego nie stworzył. Ten nagły odwrót Adama od rzeczywistości w świat mistyczny, beztroska o dom, zdrada małżeńska, pogłębiały chorobę żony. Jego pomysły odnośnie przyszłości dzieci były dla niej dodatkowym obciążeniem, musiała stanowczo oprzeć się niektórym z nich, jak choćby temu, by Władysława nie wysyłać do regularnej szkoły, lecz szkoły rzemiosł, aby w przyszłości miał „bezpieczne życie, bez rozczarowań". Dopiero różnice między nim i Towiańskim odnośnie szczegółów sposobu walki o wolność Polaków otrzeźwiła nieco poetę, zrozumiał, że za daleko odszedł od rzeczywistości. Zajął się znowu sprawami społecznymi w polskim

środowisku, uwierzył w wyzwolenie Polski przez legiony polskie powstałe poza Polską, rzecz nierealna i niedorzeczna by ci wolontariusze, choćby z nich powstała cała armia, mogliby wyprzeć z terenów Polski potężnego cara i dwóch cesarzy. Śmierć Celiny w marcu 1855 roku niejako dała mu w tej działalności wolną rękę: dzieci beztrosko oddaje do rodzin znajomych, każde do innej, trochę po maniacku próbuje organizować polskie legiony. We Francji zdobywa tylko siedmiu chętnych, przenosi się do Włoch, tam ma nieco lepsze rezultaty, wreszcie razem z księciem Jerzym Czartoryskim wybiera się do Turcji – wroga Rosji i przyjaciela Polaków – tam także próbuje organizować polskie siły zbrojne. Książę zajmuje się w tym czasie budowaniem wioski dla wygnańców po upadku Powstania Listopadowego – istniejącego do dzisiaj Adampola. Następuje tragedia, Adam zostaje otruty najprawdopodobniej przez kucharza Greka wynajętego do tego celu przez ambasadę rosyjską w Istambule. Oficjalnie przyjęty powód śmieci, cholera, dzisiaj wydaje się być nieprawdziwym, bo w Turcji nie było w tym czasie epidemii tej choroby, bo poeta umiera w ciągu kilku godzin od momentu poczucia się niedobrze, a na cholerę choruje się przynajmniej kilka dni, jego ciało nie szczerniało, jak to się dzieje z ofiarami epidemii, nie pochowano go w pośpiechu, jak to zawsze robiono z czasach trwania epidemii z obawy by zaraza się nie przenosiła na innych, jego ciało czekało długo na przewiezienie do Francji, a gdyby to była śmierć z powodu zarazy, władze sanitarne Francji nie dałyby pozwolenia do

wjazdu z nim do ich kraju.

Adam umiera jesienią tego samego roku co żona, dzieciom wali się świat; tak to odczuł Władysław mający w tym tragicznym roku siedemnaście lat. Z tego wszystkiego wypływa dość prosty wniosek: bardziej niż Celina Adamowi, on jej zgotował cięższy los w życiu. Władysław tłumaczy, że te wszystkie problemy domowe omijały dzieci, bo żyły one w swym dziecięcym świecie. Mam prawo wątpić w to, że najstarsza ich córka Maria i Władysław nie wiedzieli co się dzieje w rodzinie. Być może, że te wszystkie problemy małżeńskie, rodzinne i domowe spowodowały załamania psychiczne żony poety. W okresach kiedy wracała do równowagi psychicznej była dobrą matką i gospodynią domową, dlatego dzieci ją kochały. Żyła godnie i umarła godnie i nie z powodu choroby psychicznej, lecz na raka.

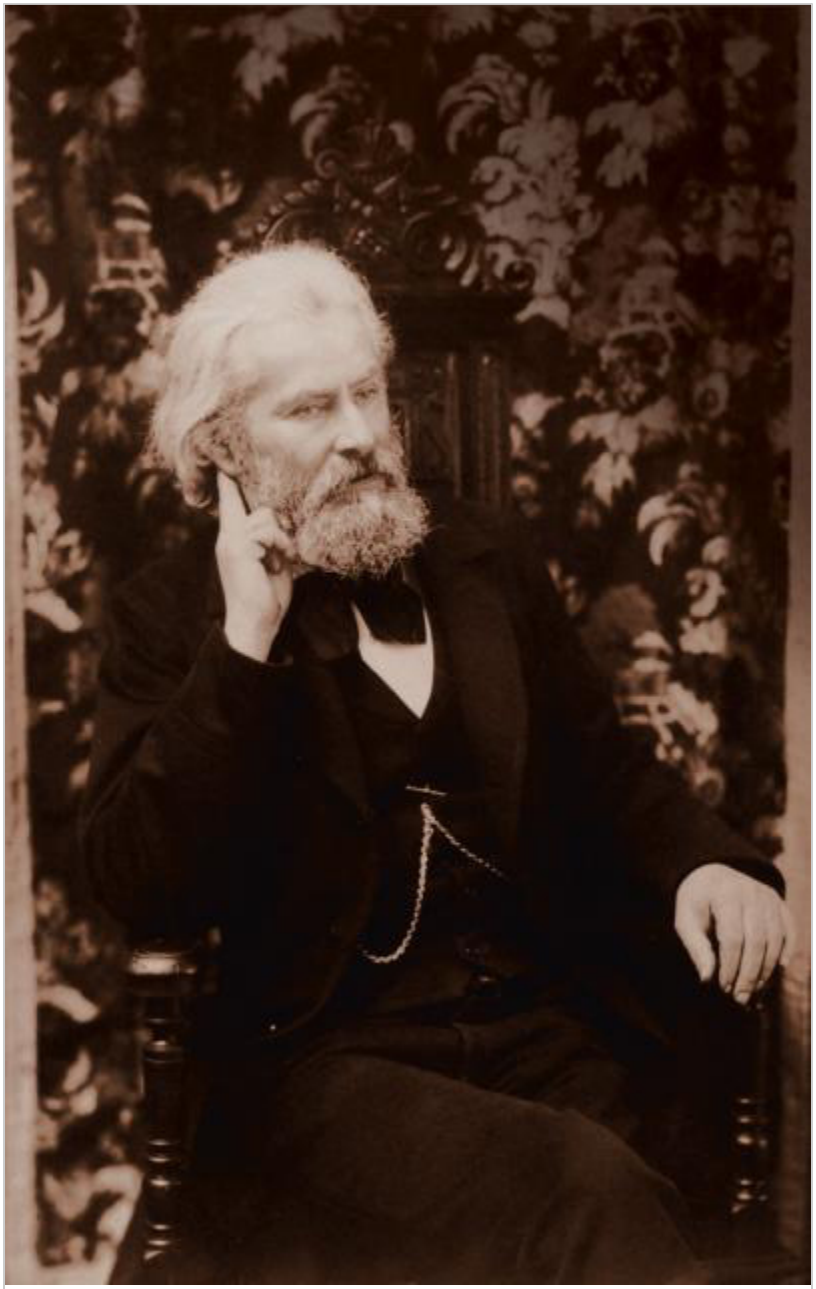

Władysław Mickiewicz

W „Pamiętnikach” Władysław pisząc o tej śmierci cytuje słowa listu przyjaciółki mamy, świadka zgonu. Pisze ona w tym liście, że Celina poprosiła męża, by jej przekazał opinię lekarza ile dni życia jej jeszcze zostało. Adam to zrobił i powiedział, że tylko trzy. Poprosiła o sprowadzenie księdza, wyspowiadała się. Oto

dalszy, dosłowny cytat z tego listu:

> Pani Adamowa słyszała o śmierci cara Mikołaja i na kwadrans przed zgonem mówiła o tym tak: Nie myślałam, że się spotkamy tak szybko. Do ostatnich chwil zachowała zimną krew. Nie da się opisać wyrazu jej oczu, gdy wyciągając ramiona obejmowała spojrzeniem portrety swych rodziców wiszące u stóp łoża, jakby ich samych widziała i jakby otwierali jej swe objęcia. Pan Adam nie wątpi, że w tej stanowczej chwili ci drodzy rodzice byli tam rzeczywiście i że ją ze sobą zabrali.

Przypomnę, że wspomniany car, największy prześladowca Polaków wśród wszystkich carów, Mikołaj I, zmarł 2 marca 1855 roku, Celina odeszła z tego świata trzy dni później.

Władysław Mickiewicz z rodziną. Najstarszy syn Adama Mickiewicza zyskał uznanie pomagając Polakom na emigracji i sprawie odzyskania niepodległości przez Polskę. Mówiono o nim „strażnik ojcowskich pamiątek”, „ambasador sprawy polskiej” i „godny promotor dzieł ojca”, fot. mat. prasowe.

W sześć lat po śmierci rodziców Władysław Mickiewicz wybiera się w podróż śladami swego ojca. To była najważniejsza podróż jego życia, rodzaj pielgrzymki. Jest jeszcze nieżonaty. W Istambule spotyka się z Ludwiką Śniadecką, żoną Michała Czaykowskiego, pisarza i wojownika o wolność, który dla dobra

sprawy zmienia wiarę, dostaję od sułtana nominację na stanowisko paszy, nazywa się odtąd Sadyk-Pasza. Ich pałac, tak jak w Paryżu dom Mickiewiczów, to „przystań" dla Polaków. Śniadecka musiała być wyjątkowo piękną, choć już dojrzałą kobietą, bo Władysław przyznaje się, że zakochał się w niej, jak wcześniej w Wilnie młodziutki Julo Słowacki. Z ich pomocą przedostaje się do Odessy, jednak nie udaje mu się ukryć kim jest przed najsprawniejszą w owych czasach w Europie służbą policyjno-wywiadowczą Ochraną. Ci pozwalają mu na podróżowanie po „Matiuszce Rosii", mimo że wiedzieli, że jest synem „buntowszczika" Adama, którego razem z 19-toma Filaretami i Filomatami dziesiątki lat wcześniej wydalono z Uniwersytetu Wileńskiego i zesłano w głąb Rosji za ich działalność patriotyczną. Może to, że poeta polski był przyjacielem ich największego poety Puszkina, było usprawiedliwieniem tego przywileju, ale, oczywiście, był mocno inwigilowany w czasie swej podróży. W drodze na Litwę, do ojczyzny ojca, spotyka wielu wspaniałych ludzi. Pierwszy przystanek po Odessie to Kijów. Tu poznaje polskiego patriotę Stefana Bobrowskiego, późniejszego naczelnika Warszawy w czasie Powstania Styczniowego. Był on wujem Conrada, czyli Józefa Korzeniowskiego, marynarza i wspaniałego pisarza powieści w języku angielskim, uznawanego przez anglojęzycznych krytyków literackich za jednego z największych mistrzów tego języka. Nie mając możliwości nawiązania z nim kontaktu, odwiedza w Żytomierzu jego ojca Apollona, „poetę po

mistrzowsku władającego wierszem”. Tu poznaje także Józefa Ignacego Kraszewskiego. Stali się przyjaciółmi, przetłumaczył jego powieść „Ulanę” na język francuski i opublikował w swoim piśmie. Gdy Kraszewski wpadł w kłopoty z prawem i znalazł się w więzieniu, Władysław poprzez swoje wpływy pomógł mu wydostać się na wolność. Wreszcie dociera do Nowogródczyzny, odwiedza Zaosie, gdzie ojciec się narodził, odwiedza Tuhanowicze, gdzie Adam poznał swą pierwszą miłość Marylę Wereszczakównę. Ta nie chciała się z nim spotkać, może dlatego, że mogła być ciężko chora, bo w rok czy dwa później umarła, a może i dlatego, by nie wspominać trudnych chwil z przeszłości i wtajemniczać syna w swoje intymne stosunki z ojcem. Przypomnę, że jej rodzice przerwali ich romans, ożeniono ją bogato z hrabią Wawrzyńcem Puttkamerem. Gdy się okazało, że jest niezdolny do współżycia małżeńskiego, że ona musi żyć w tak zwanym białym małżeństwie, wtedy przypomniała sobie o poecie, nawiązuje ponownie z nim romans. Władysław jedzie nad jezioro ich wzdychań miłosnych, nad Świteź, o którym poeta napisał jeden ze swych najpiękniejszych, najbardziej romantycznych wierszy. Następne miejsce zatrzymania to Petersburg. Pamięć o jego ojcu była tam ciągle żywa, jest przyjmowany jak osoba bardzo ważna. Kniaź Piotr Wiaziemski, przyjaciel Puszkina, wydaje wspaniałe przyjęcie na jego cześć, i choć był cenzorem carskim, pozwolił, podkreślając tym swą radość z tego spotkania, by ktoś recytował fragmenty „Dziadów”, tego chyba najbardziej patriotycznego i antyzaborczego dzieła

Adama Mickiewicza. W Petersburgu Władysław spotkał kuzynkę Marię Malewską, zakochali się w sobie, jej ojciec, szwagier i przyjaciel jego ojca, a w tym czasie wysoki urzędnik na dworze cara, z dużymi oporami zgodził się ostatecznie na ich małżeństwo.

Na tereny zaboru rosyjskiego Władysławowi nie wolno było wjeżdżać, udaje mu się jednak dostać do Warszawy i to tuż przed wybuchem Powstania Styczniowego. Jest powszechnie znany, dopuszczano go do uczestnictwa w przygotowaniach do powstania, a w jego „Pamiętnikach" znalazło się kilkadziesiąt bardzo ciekawych stron o Warszawie i Warszawiakach. W kilka lat później biega po Paryżu by znaleźć locum i środki utrzymania dla wielu z tych, z którymi konspirował w Warszawie przed powstaniem.

Po upokorzeniu Francji przez najazd pruski Władysław Mickiewicz intensyfikuje jeszcze bardziej swoją działalność patriotyczną i pisarską. W tak zwanej Komunie Paryskiej brali udział jako wodzowie jego znajomi trzej generałowie polscy: Jarosław Dąbrowski, Roman Czarnowski i Walerian Wróblewski; temu ostatniemu Władysław uratował życie, opisuje w „Pamiętnikach" ich udział w tym zrywie patriotycznym. W roku 1864 zakłada wydawnictwo o nazwie Księgarnia Luksemburska, wydaje 68 dzieł patriotycznych w ramach serii „Biblioteka Ludowa Polska" i około stu innych tytułów. Pisze nie tylko

wspomniane „Pamiętniki”, które były nieznane ogółowi w czasie jego życia, ale pisze i wydaje czterotomową książkę „Żywot Adama Mickiewicza”, inne kilkutomowe dzieło pod tytułem „Emigracja Polska 1860-1890”, wydaje także dzieła literackie swego ojca w 11 tomach i w kilku tomach jego korespondencję. Współpracował z przyjacielem i uczniem ojca, Arnandem Levy, któremu udało się przewieźć zwłoki Adama Mickiewicza z Turcji do Francji, w jego piśmie „Le Patriot” drukując w nim szereg artykułów. Zaangażował się w proces przewiezienia zwłok jego ojca na Wawel, udało się to zaaranżować mimo tego, że Polska ciągle była jeszcze w niewoli. Doczekał się jednak czasów, o które walczył: żył jeszcze przez osiem lat od momentu powrotu Polski na mapę. Pisał teraz przeważnie do polskich czasopism: *Dziennika Poznańskiego, Tygodnika Ilustrowanego i Wiadomości Literackich*. Uniwersytet Wileński nadaje mu tytuł honorowego profesora, Uniwersytet Jagielloński czyni go swoim doktorem honoris causa, prezydent kraju nadaje mu Krzyż Komandorski Polonia Restituta. Umiera 9 czerwca 1925 r.

Kondukt pogrzebowy Wladysława Mickiewicza.

Najciekawszym jego dziełem są, moim zdaniem, jego „Pamiętniki”. Zawierają masę informacji historycznych i ciekawostek – to prawdziwy dokument długiej epoki w dziejach

Europy i niejako powiew świeżego powietrza z tego powodu, że rozwiewa w nich wiele zastygłych stereotypów. Oto jeden z przykładów. W domu Mickiewiczów według powszechnego wierzenia wypowiadanie nazwiska Juliusza Słowackiego miało uchodzić za rzecz wprost nieprzyzwoitą. W rzeczywistości nie tylko było ono wypowiadane, ale Władysław Mickiewicz przetłumaczył na język francuski wydrukował w swoim wydawnictwie tom jego poezji, cytuje w „Pamiętnikach” odczyt G. Leconte’a w Towarzystwie Literatów, w którym znajduje się ta wypowiedź: „Pośród współczesnych Mickiewicza wymienić możemy nazwiska: Słowackiego, wizjoniera i proroka… „. Inne z wymienionych nazwisk to Bohdan Zalewski i Zygmunt Krasiński.

Ciekawy człowiek, patriota, tytan pracy, wielki społecznik – warto o nim pamiętać!

Uraza

W Radio Wolna Europa w Monachium. Od lewej: Piotr Guzy, Sławomir Mrożek, Tadeusz Nowakowski, Jan Jasiewicz, fot. arch. P. Guzego

Piotr Guzy

Pod koniec lata 1969 roku praca nad nową powieścią, którą miał być „Stan wyjątkowy”, była dobrze zaawansowana, byłem z niej zadowolony i miałem pewność, że Giedroyć będzie chciał ją wydać. I wtedy w moim życiu zjawił się dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium, pan Jan Nowak. Napisał do mnie? Zadzwonił? Z pamięci mi to już wyleciało. W każdym razie zaproponował mi spotkanie w hotelu w Londynie.

Pojechałem.

Był nadzwyczaj miły dla mnie, czarujący. Czytał mój „Krótki żywot bohatera pozytywnego”, który mu się nad wyraz podobał. Nie dziwił się, że dostałem za niego nagrodę „Kultury”, podkreślił też, że radio nadało bardzo pochlebną recenzję „Krótkiego żywota” pióra Gustawa Herlinga -Grudzińskiego, którą wydrukują w wydawanym przez rozgłośnię piśmie „Na antenie”. Powiedziałem, że mi to bardzo schlebia i będę bardzo wdzięczny.

Wtedy zaproponował mi przejście z BBC do Radia w Monachium. Bardzo mu na tym zależało. Wyraził przypuszczenie, że bardzo dobrze by mi się tam pracowało, bo w zespole mają już kilku pisarzy i poetów, tu wymienił Tadeusza Nowakowskiego i z poetów Bronisława Przyłuskiego, więc nie czułbym się osamotniony. Nie podał ile bym tam zarabiał. Ja zaś też nie pytałem. To byla stacja amerykańska, więc zarobki też były amerykańskie, nieporównywalne z tym, co w równorzędnej pracy zarabiało się w Europie.

Podziękowałem mu za zaproponowanie mi pracy w Monachium, ale zastrzegłem się, że z tym trzeba będzie trochę poczekać. Obliczyłem, że sfinalizowanie pracy nad nową powieścią zajmie mi jakieś dwa, trzy miesiące, chociaż nic pewnego nie mógłbym powiedzieć, niepewność, tak było zawsze ze mną, przy pisaniu

nigdy mnie nie opouszczała, w każdym razie mógłbym się przenieść do Monachium dopiero gdzieś w początkach, w pierwszym kwartale przyszłego roku. Zapropopnowałem więc, że jak będę miał definitywną decyzję Giedroycia, że mi książkę opublikuje, to mu, znaczy Nowakowi, dam znać i jeśli jego propozycja pracy w polskiej rozgłośni będzie nadal aktualna, to wystąpię w BBC z wypowiedzeniem. I na tym między nami stanęło.

Mnie się w BBC dobrze pracowało, praca nie tylko nie była uciążliwa, ale była ponad to interesująca, byliśmy zawsze *au courant* tego, co się aktualnie działo w Polsce. Praca była dobra, z coroczną podwyżką, była pewność dobrej emerytury, mogłem więc tam zostać, miałem przyszłość zapewnioną. Ale prawdę mówiąc, mnie ciągnęło na kontynent, szczególnie chciałem zobaczyć i doświadczyć z bliska powojenne, okrojone na wschodzie, Niemcy. Może nawet podświadomie zarysowywało się we mnie coś, co mogło ewentualnie przerodzić się w krótszy lub dłuższy utwór literacki, bo kończąc „Stan wyjątkowy" byłbym wewnętrznie otwarty na wszystko, co mogło mi przynieść życie. A przyniosło, bo po kilkunastu latach miałem napisać dłuższe opowiadanie, „Biedna Lilo", którego akcja toczy się w Monachium, w moim własnym mieszkaniu na pierwszym piętrze Elisabethstrasse 24, na tak zwanym Schwabingu.

Posłałem maszynopis „Stanu wyjątkowego" do Maisons-Laffitte,

Giedroyciowi książka się podobała, będzie ją drukować. Wobec tego napisałem do Nowaka, że z nowym rokiem jestem gotowy przenieść się do Monachium.

I tu spotkała mnie przykra niespodzianka. W odpowiedzi napisał mi, że owszem, oferta nadal stoi, ale trudno mu w tej chwili powiedzieć, kiedy ją będzie można urzeczywistnić. Sprawa rozbija się o pieniądze. Wypełnianie wakatów etatami tylko częściowo leży w jego rękach, ostateczne decyzje zapadają w administracji amerykańskiej. Budżet na sfinansowanie dużej instytucji, jaką jest monachijskie radio, jest corocznie uchwalany i zatwierdzany przez Kongres. Tak wiec z roku na rok nic nie jest ustalone na fest, corocznie więc trwają w Waszyngtonie targi między różnymi departamentami administracji amerykańskiej. Na koniec jednak dodał, że oczywiście jak tylko sytuacja się ustabilizuje, to ponowi swoją ofertę.

Napisałem mu z podziękowaniem, że zechciał mnie poinformować jak się sprawa ma i zapewniłem go, że oczywiście jak tylko perspektywa się wyklaruje, to w każdej chwili będę gotowy przyjąć jego ofertę.

Niecały miesiąc później przyszła z amerykańskiej administracji radia w Monachium, oficjalna oferta przyjęcia mnie w skład polskiego działu rozgłośni. Nie będę wchodził szczegółowo w biurokratyczne postępowanie, w każdym razie w początkach

nowego roku byliśmy z żoną zainstalowani w wygodnym trzypokojowym mieszkaniu przy wspomnianej już Elisabethstrasse 24 na tak zwanym Schwabingu. I tak któregoś dnia siedziałem w gabinecie dyrektora radia pana Nowaka w budynku Radia w tzw. Parku Angielskim (*Englisher Garten)* w Monachium i słuchałem jego pochwał pod adresem mojego pisarstwa, jeśli zaś chodzi o konkretną dla mnie pracę, zaproponował mi redagowanie dziennika radiowego, na co chętnie przystałem.

***

Tu muszę się cofnąć o dwadzieścia kilka lat do tak zwanej, i nigdy do końca oficjalnie nie wyjaśnionej, sprawy niejakiego Henryka Rozpędowskiego, która swego czasu dogłębnie wstrząsnęła polską załogą rozgłośni. W czasie wojny Henryk Rozpędowski działał w partyzantce na rozległych obszarach dawnych kresów wschodnich Rzeczypospolitej. Kiedy przez te rejony przewalił się front Armii Czerwonej, nowe władze zarzuciły olbrzymią sieć i wyłowiły tysiące partyzanckich bojowników, nie bacząc na razie na ich polityczną przynależność. Henryk R., który miał za sobą niecałe cztery klasy przedwojennego gimnazjum, bardzo prędko znalazł dla siebie miejsce w organizowanym przez władze życiu kulturalno-społecznym obozu. Został kierownikiem teatru. Teksty proponowanych do wystawienia sztuk przechodziły przez

cenzurę przy sztabie obozu. Nie trwało to jednak długo, Henryk R. sam potrafił w podsuwanych mu tekstach znajdować ideologiczne niedociągnięcia i nie musiał już przedstawiać swoich sztuk do postronnej oceny. Zaufano mu.

Do obozu zjechała wysoka delegacja partyjna. Pięciu ich było, wszyscy w długich skórzanych, czarnych płaszczach. Jeden z nich, dość wysoki osobnik o ciemnej, zniszczonej twarzy, mówił długo o przewadze ustroju socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym, kiedy to wreszcie będziemy mieli w Polsce sprawiedliwość społeczną i tak dalej. Na koniec przedmówca zwrócił się do zebranych, czy chciałby ktoś postawić jakieś pytanie, albo uzupełnić jego własne przemówienie.

Henryk Rozpędowski wystąpił przed szereg.

– Chcieliście coś powiedzieć?

– Tak.

– A jak wy się nazywacie?

Powiedział swoje nazwisko i imię.

– Macie jakieś zapytanie?

– Tak

– Mówcie więc, mówcie śmiało, nie bójcie się.

– Wy, towarzysze, dużo mówicie o sprawiedliwości, ale sami nie potraficie zaprowadzić sprawiedliwości tu, w naszym obozie.

– Potraficie dać jakieś konkrety?

 – Tak. Chodzi o kuchnię. Jak jest zupa to jedni dostają z oczkiem tłuszczu, a inni muszą się obejść samą wodą. To nie jest sprawiedliwość.

Ten, ktory przemawiał, nie odrywał oczu od ochotnika, wpatrywał się w niego z przemożną siłą swego autorytetu. Wreszcie zapytał:

– A wy wiecie jak ja się nazywam?

– Nie wiem, towarzyszu.

– Jestem towarzysz Fejgin. Zapamiętajcie sobie dobrze to nazwisko. Towarzysz Fejgin.

Miesiąc później Henryka Rozpędowskiego odesłano do Moskwy.

***

Poznałem go kilka lat później. Już jakoś zahaczyłem się o uprawianie literatury, byłem członkiem Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich w Poznaniu. Henryk Rozpędowski zajmował się wychowaniem młodych pisarzy w duchu marksizmu i leninizmu. Straszna nuda. Starał się rozniecić dyskusje, zadawać pytania, jednak rzadko ktoś z czymś występował. Już nie pamiętam z czym wyskoczyłem jednego razu, albo inaczej, z czym się odważyłem wyskoczyć. W każdym razie nie było to po jego myśli. Po skończeniu zebrania, gdy jego uczestnicy już się rozchodzili, towarzysz Henryk Rozpędowski podszedł do mnie i chwyciwszy mnie za guzik od koszuli, głosem, który mógł przywodzić na myśl Łubiankę i niezmierzone obszary Gułagu, powiedział:

– TY uważaj na siebie, bo TY wiesz, co MY z takimi jak TY, robimy.

Nie zrobiło to na mnie pożądanego wrażenia. To już był okres Gomółki, pewnego ideologicznego rozprzężenia, a myśmy już wiedzieli, że jego patron w czarnym skórzanym płaszczu, towarzysz Fejgin, był już aresztowany, albo miał być aresztowany, różnie mówiono. W każdym razie było wiadomo, że Henryk Rozpędowski był kapitanem czy majorem tak zwanej Informacji Wojskowej, którą to organizację po uzyskaniu przez

Polskę wolności uznano za organizację zbrodniczą. Towarzyszowi Henrykowi Rozpędowskiemu udało się wydostać z gmatwaniny międzypartyjnych porachunków. Przypomniano sobie, że kiedyś z powodzeniem prowadził teatrzyk w obozie, więc go skierowano bodajże do Gniezna, gdzie został kierownikiem literackim miejscowego teatru. Ale, że tam już trochę zanadto śmierdział bezpieką, więc długo tam nie posiedział, postarał się więc o to, żeby go skierowano do Poznania. Tam miał zamieszkać w domu Związku Literatów Polskich, gdzie akurat zwolnił się jeden pokój, z którego wysiudano niepokornego, ideologicznie wierzgającego poetę, Wojciecha Bąka. Sprawa była skomplikowana, mało co o niej wiedziałem, samego zaś Bąka nigdy na oczy nie widziałem. A zatem towarzysz Henryk Rozpędowski, zainstalowany teraz w swym mieszkaniu na piętrze, wziął się energicznie do pracy na niwie poprawnej ideologii wśród młodych poznańskich literatów. Nie chodziłem na jego wykłady, nie obchodziło mnie to.

Wkrótce po przewrocie gomółkowskim – w tym czasie też wyszła „Odwilż" Ilii Ehrenburga, która przyniosła z sobą wcale nie tak małe znowu trzęsienie ziemi wśród pisarzy i ludzi kultury tak zwanego „obozu socjalistycznego" – kilku młodych literatów poznańskich uzyskało od władz partyjnych zezwolenie na powstanie i prowadzenie tygodnika społeczno-kulturalnego pod nazwą „Tygodnik zachodni", w którym ja prowadziłem dział zachodni. W Szczecinie wybuchła afera sensacyjna, chodziło o zohydzenie jakiegoś zakonu kobiecego. Poleciałem tam. Jednego

dnia po południu znalazłem się w jakimś obcym mieszkaniu, bardzo możliwe, że byłem już trochę w stanie wskazującym, kupa ludzi tam była. Nagle zobaczyłem siedzącego w fotelu towarzysza Henryka Rozpędowskiego, ale jakoś był inny, jakby w jego wewnętrznej postaci zaszła jakaś zmiana. Kolega, z którym akurat byłem, powiedział: – Chodź, przedstawię ci go. – Powiedziałem, że nie trzeba, ja faceta znam. Wtedy kolega: – Jutro z żoną wyjeżdżają do Izraela, to jest ich pożegnalne spotkanie. – We mnie jakby uderzył piorun, podszedłem bliżej, powiedziałem: – Nie rozumiem, jak to ty? – Na to towarzysz Henryk Rozpędowski, człowiek z polską krwią na rękach, powiada: – Przecież w tym kraju nie da się żyć.

***

Rozmowa z Nowakiem dobiegła końca, łatwo się z nim rozmawiało, ale mimo tej lekkości wyczuwało się, dla mnie to było to jasne, że on mnie taksuje, drąży, a ja farby nie puszczałem, i do końca mojej pracy w rozgłośni nigdy nie doszło między nami do najmniejszego zbliżenia. Do końca byłem dla niego enigma. A z czasem widziało się gorszące sceny, to płaszczenie się przed nim, to schlebianie mu, a jak przyszły jego imieniny, to żeby mu złożyć życzenia, do jego otwartego na oścież gabinetu formowała się dziesięciometrowa kolejka, i często nie podchodzono do niego z pustymi rękami. Znany był jeden przypadek, gdzie starszawe małżeństwo ofiarowało mu

zestaw jakiejś kosztownej porcelany i Nowak odmówił przyjęcia.

W ciągu wszystkich lat mojej pracy w rozgłośni jeden raz zjawiłem się na jego imieninach, był potężnie zaskoczony. A poszedłem bo chciałem wiedzieć, chciałem zobaczyć na własne oczy jak to monarsze składanie hołdu wygląda. Byłem zdegustowany i powiedziałem sobie, już nigdy więcej. Wstyd mi było za moich bądź co bądź kolegów, z którymi miałem codziennie do czynienia. Ale to wszystko odkryłem dopiero z biegiem czasu. I stopniowo.

Nowak wstał, ja wstałem, odprowadził mnie do drzwi i wtedy, to trzeba sobie wyobrazić, gdy dotknąłem stopą korytarza, znalazłem się w silnych i rozhisteryzowanych objęciach Henryka Rozpędowskiego. On się trząsł, dygotał, niewątpliwie jednym okiem skierowanym na otwarte drzwi, w których stał Nowak i patrzył na ten nad wyraz nieprzyzwoity spektakl. W pobliżu zatrzymało się kilka osób, zapewne z niedowierzaniem w oczach. Wreszcie Nowak się odezwał:

– To panowie się znacie?

Henryk Rozpędowski zdjął ze mnie swe ręce, tylko lewą ręką nadal trzymał mnie za łokieć:

– Ależ tak, już od wielu lat. Zawsze byliśmy bardzo blisko.

– No to cieszę się – to skierowane do mnie – że w pierwszym dniu pobytu w tym gmachu odnalazł pan starego przyjaciela. Mam nadzieję, że obu panom będzie się dobrze ze sobą pracowało. – I z tym, z plecami do wnętrza, wycofał się do swego gabinetu. Ja zaś zrzuciwszy z łokcia nieprzyjemną mi rękę poszedłem w głąb korytrza, skąd miałem wejście do redakcji dziennika. Henryk Rozpędowski mnie nie odstępował i gadał, gadał, że mi pomoże zorientować się kto tu jest kim, bo tu trzeba wiedzieć z kim można, z kim zaś nie, tak jakby solidną część zespołu stanowili kapusie, którzy z byle powodem lecieli do Nowaka. Nie odezwałem się do niego ani jednym słowem. Ale nie było dnia, żeby mnie nie łapał na korytarzu, czy na dole w kantynie, nie wiem, o co mu chodziło.

A ja zastanawiałem się potem, czym były podyktowane Nowakowe życzenia dobrej współpracy, czy była w nich kpina, cynizm, bo wiedząc, że przez kilka lat mieszkałem w Poznaniu, nie mogłem nie wiedzieć jaki tam „sprawował rząd dusz", zatruwając umysły młodych pisarzy doktryną leninowsko-stalinowską. Zawsze byłem samotnie chodzącym kotem, tak więc i tutaj nie miałem zamiaru trybu mojego życia odmienić. A życie towarzyskie wśród pracowników rozgłośni kwitło w najlepsze. To było swego rodzaju getto, zakisłe w sobie. Ja i żona nie mieliśmy zamiaru kisić się w tym sosie, tak że z biegiem czasu, nie obrażając nikogo, odmawialiśmy zaproszenia. Przestano nas zapraszać.

Jan Nowak-Jeziorański w 1957 r., fot. ze zbiorów Narodowego

Następne spotkanie z Nowakiem nastąpiło jakieś dwa, trzy tygodnie później. Z jego inicjatywy. Zadzwonił ze swego biura, czy mógłbym na chwilę przyjść. Robotę w redakcji przejął kolega. Poszedłem. Nowak był uroczy, jak on to zawsze potrafił, z przyjaznym uśmiechem na twarzy wskazał na krzesło, żebym usiadł. Pochwalił mnie, że szybko i, jak mu się wydaje, łatwo wdrożyłem się w redakcyjny tok pracy. Wyraził nadzieję, że tok pracy, jej gorączkowość, nie wpływają niekorzystnie na moją własną pracę literacką. Zapewniłem go, że praca w radio w żaden sposób mi nie szkodzi, a rozkład dyżurów daje mi dużo wolnego czasu.

Lekko skinął głową: – To mnie cieszy.

Tu nastąpiła dłuższa przerwa, Nowak bezmyślnie przesuwał papiery na biurku, było to jakby nagłe, był zbity z tropu, jakby sytuacja wymknęła mu się z ręki i nie wiedział jeszcze, jak naprowadzić ją na podległe mu tory. A ja już się domyślałem, więcej, byłem pewny, że wiem, z czym wystąpi.

Wreszcie jakby się uspokoił i z cieniem uśmiechu na twarzy zapytał: – No, a jak się rozwijają pana stosunki z kolegą Rozpędowskim?

Dziwnie sformułowane pytanie, „pana stosunki”. Chyba się domyślał, że już mi było wiadomo z czym, szereg lat temu, ze strony całego zespołu spotkało się przyjęcie tego człowieka do pracy w rozgłośni. Powstały wtedy bunt moralnego sprzeciwu jemu przecież przyszło uśmierzać. Czy robił to uczciwie, nie zgnębiając własnego sumienia? Wchodzę tutaj na bardzo niepewny, powiedziałbym nawet zdradliwy grunt.

***

Szok jakiego doznałem szereg lat temu, kiedy spotkałem Rozpędowskiego w Szczecinie w przeddzień jego wyjazdu z kraju, miał u swego podłoża dwie przesłanki. Miałem przed sobą byłego oficera Informacji Wojskowej, zbrodniczej organizacji, jaką nowi, przybyli z Moskwy władcy, powołali do życia w celu, nie przebierając w środkach, uśmierzenia przeciwnego im narodu i zbudowania mocnego i trwałego gruntu pod nowy, już w swoich początkach znienawidzony system. I ten człowiek, który ma ręce ubrudzone krwią, który utrwalał ten system, który mi osobiście groził, że mnie unicestwi, teraz mówi mi, że przecież „w tym kraju nie da się żyć”. Druga przesłanka wspomnianego szoku zasadzała się w słowie „Izrael”, że jedzie, przenosi się z rodziną do Izraela, czyli jest Żydem. Dotąd nie myślałem o nim, że, jak się mówiło przed wojną, jest mojżeszowego wyznania. Dla mnie to było nieistotne. Pozostawała jednak kwestia: dlaczego emigruje? Poczuł się zagrożony? Tu można by spekulować na

różne sposoby. Może wyjeżdżał z zadaniem do wykonania? Tak myślę teraz, gdy to piszę, a mamy już 2016 rok, wtedy tego rodzaju podejrzenie nie przyszło mi do głowy.

***

Nowak zadał mi pytanie, musiałem na nie odpowiedzieć. Ale jak? Dla mnie fakt pracy Rozpędowskiego w radio był zbyt rażący, żeby przed odpowiedzią schować się w jakieś grzecznościowe ogólniki, nigdy bym sobie takiego tchórzostwa nie wybaczył, pozostałaby jątrząca smuga na moim życiu do jego końca. Powiedziałem:

– Będę z panem szczery. Na pana pytanie mógłbym odpowiedzieć ogólnikowo, tyle żeby grzeczności stało się zadość, ale wątpię czy to by Pana zadowoliło. Mnie na pewno też nie. Opowiem panu o czymś, co mnie się kiedyś wydarzyło. – Ktokolwiek będzie czytał od początku te moje „wspominki", już będzie wiedział do czego zmierzam. Więc powiedziałem: -Ten człowiek zagroził mi, że mnie unicestwi, powiedział: – TY uważaj na siebie, bo TY wiesz, co MY z takimi jak TY robimy. – I te słowa należy brać poważnie, on był zdolny mnie zlikwidować, to nie były żarty. Oni na prawdę zabijali ludzi, zwłoki zakopywali w dziurach gdzieś po lasach, oni na prawdę torturowali ludzi, więc niech pan się nie dziwi, że dla mnie ten człowiek, oględnie mówiąc, ma brudne ręce i dla mnie każdorazowe minięcie go tu na korytarzu jest

kpiną, jest drwiną z jego strony, on się ze mnie śmieje. Ale niewątpliwie z czasem przywyknę do zaistniałej sytuacji.

Atmosfera w pokoju stała się naprężona do krańca wytrzymałości, ale nie zdejmowałem moich oczu z twarzy Nowaka, a on przez kilka dłuższych sekund miał te oczy zasłonięte ciężkimi powiekami, prawa ręka, jak martwa leżała na blacie biurka, wreszcie powiedział z jakimś dla mnie dziwnym westchnieniem:

– Ach, ja wiem, proszę pana, to wszystko jest mi wiadome, on się przede mną wyspowiadał i ja mu wierzę. On sam nikogo nie zabił. Mnie bardzo przykro, że miał pan ten, nie wiem jak to nazwać, incydent, przykry, bolesny, prawdopodobnie nie do zapomnienia kiedykolwiek, ale ja prowadzę politycznie ważną instytucję i dlatego, że on pana uraził, ja dobrze się spisującego dziennikarza dla pana nie zwolnię.

– Nie po to panu o tym opowiedziałem, chciałem tylko, żeby pan wiedział – skinąłem lekko głową. – Pan wybaczy, ale – popatrzyłem na zegarek – na mnie czeka dziennik – podniosłem się z krzesła i wyszedłem.

***

Tu muszę moje sprawy pchnąć naprzód. Rzecz miała miejsce

jakieś dwa lata później, może mniej, nieważne. Ishbel, moja żona, poleciała na dwa tygodnie do Anglii. Byłem sam. Miałem przyjaciela, miał na imię Jerzy, ale w radio wołaliśmy na niego: Wowo. To zawołanie ma swoją historię. Wowo był z wykształcenia aktorem. U nas był jednym z lektorów, ja redagowałem dziennik, przez ścianę było studio, w którym on go czytał. Nam się bardzo dobrze z sobą pracowało, znałem wszystkie jego, w tym czasie, kochanki. Jedną, bardzo lubiłem, miała na imię Lilo. Tym imieniem posłużyłem się, nazywając protagonistkę napisanego wiele lat później opowiadania pt. „Biedna Lilo". W tym czasie w Polsce, zwanej ludową, były już rejsy wycieczkowe bodajże do Danii. Wowo wziął udział w takiej wycieczce i gdy statek wracał przez Kanał Kiloński (?), wyskoczył z pokładu do wody, dopłynął do brzegu, gdzie zaopiekowali się nim przyglądający się Niemcy. W ten sposob Wowo wybrał wolność. Pierwsza praca jaką znalazł, zanim miał sposobność przeniesienia się do Monachium, były zmywaki. Miał coś skądś przynieść, pytał więc: – Wo? Wo? Gdzie? Gdzie? I to do niego przylgnęło. Gdy ja go poznałem, mówił już płynnie po niemiecku. Tego dnia pracowaliśmy razem, dyżur mi się kończył o siódmej wieczorem. Wowo miał czerwony samochód sportowy, nie pomnę jakiej marki i odwiózł mnie do domu. Po drodze wspomniał, że u takiego a takiego kolegi będzie *party*, na które moglibyśmy się wybrać, jakby mi to odpowiadało. Przyjechał po mnie dwie godziny później, butelka wina leżała na siedzeniu, na którym się wygodnie ulokowałem. Ja mieszkałem na tzw. Schwabingu,

blisko samego centrum miasta, kolega, do którego jechaliśmy, mieszkał po drugiej stronie miasta. Tu, po prawej stronie ulicy wznosiły się wysokie kamienice w stylu *fin de siecle.* Ich frontony zdobiły balkony z kutego żelaza, miejscami obwieszone doniczkami, z których wylewały się gęste kiście kwiatów. Lewą stroną ulicy ciągnęły się drzewa o gęstych kopułach, w dole między nimi przeświytywała, srebrząc się migotliwie, powierzchnia powoli płynącej Izary. Wowo zwolnił, skręcił na prawo i z szerokiej bramy wjechaliśmy na rozległe podwórze. Z niektórych okien dolatywała muzyka, w staromodnej windzie z kutego żelaza wznieśliśmy się na piąte piętro.

Ten opis przepisałem dosłownie z opowiadania „Boska Christa", które opublikowałem wiele lat później. Christa, jaką wymyśliłem, była niezwykle piękną kobietą, która się cudownie kochała, a jechaliśmy tą windą do mieszkania, gdzie miał początek nasz romans.

Nagranie w studiu Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Od lewej: Henryk Rozpędowski, Renata Rozpędowska i Jerzy Bozekowski, fot. audiovis.nac.gov.pl

Przyjęcie, zabawa, wylewały się z drzwi otwartych na szeroki korytarz. W chwili, gdy witaliśmy się z panem domu, który w radio pracował w tak zwanej produkcji, zobaczyłem trzy krzesła od miejsca, w którym stałem, Henryka Rozpędowskiego siedzącego w głębokim fotelu, żywo perorującego z facetem, którego widywałem w radiu, ale nigdy z nim nie rozmawiałem. Rzecz jasna, że gdybym wiedział, że tu się zetknę z tym człowiekiem, to bym tu nie przychodził, jasne. No nic. Ktoś mi wsunął do ręki szklankę, co to było, whisky? Whisky. Z tą szklanką w ręku połaziłem trochę po całym mieszkaniu,

większość osób tu obecnych była mi znana, kilku pytało, kiedy wyjdzie moja następna książka. A potem wróciłem do miejsca, w którym ten obchód zacząłem. Trzy krzesła ode mnie siedział człowiek, w którego mocy było kilkadziesiąt lat temu mnie unicestwić. Rozejrzałem się wokoło, na lewo ode mnie, dwa krzesła dalej, siedziała jego żona, Renata, też lektorka naszych dzienników. Ludzie byli już trochę podpici, mówili głośno, trochę już zbyt głośno i nie na tej samej fali. W pewnej chwili Renata krzyknęła głosem pełnym nieutajonej złości: – Mój Henryczek nigdy nikogo nie skrzywdził! – I nagle zrobiło się cicho i w tej ciszy jej Henryczek, bo miałem wzrok wbity w niego, machnął lekceważąco ręką i lekceważąco, z wielką dla swej Renaty pogardą, powiedział: – E tam, co ty tam wiesz!

Przejęzyczył się? Alkohol już się rozsiadł w jego głowie? W każdym razie przez dłuższą chwilę trwało wymowne milczenie, a ja znalazłem kolegę, który podał był mi mój pierwszy drink i palcem dziobając pustą szklankę dałem mu do zrozumienia, żeby mi dolał. W pokoju nadal wisiała gorzka zawiesina, którą rozerwały dopiero co wypowiedziane słowa, lekko niby replika przy brydżu: – Kochani, gramy dalej czy co? I zaraz zrobiło się gwarno jak na targu.

Piotr Guzy, polski pisarz, urodził się 15 maja 1922 roku. Syn powstańca śląskiego Juliusza, kształcił się (gimnazjum i liceum) w Tarnowskich Górach. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 i został internowany w Rumunii. Zbiegł do Francji, dostał się do wojska polskiego przy generale Sikorskim. Walczył we Francji, Belgii i Holandii w szeregach dywizji pancernej generała Maczka, był ciężko ranny.

Po wojnie pozostał początkowo na Zachodzie, studiował ekonomię polityczną i filozofię na Uniwersytecie w Londynie. Założył w Anglii rodzinę, ale w 1949 przyjechał do Polski (z żoną i synem), uzyskując stopień magistra ekonomii na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1956–1957 pracował w redakcji „Tygodnika Zachodniego".

Prześladowany przez służbę bezpieczeństwa wyjechał w 1957 do Anglii (przez Berlin Zachodni), pracował w BBC; po przeniesieniu do Monachium współpracował z Radiem Wolna Europa. W 1979 zamieszkał w Hiszpanii.

Jest autorem kilku powieści, których akcję umieścił na emigracji lub w Polsce w okresie powojennym. *Krótki żywot bohatera pozytywnego* to monolog wewnętrzny kierownika powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, przestraszonego wizją zmian w

atmosferze odwilży październikowej. Inna znana powieść, *Stan wyjątkowy*, przedstawia los rodziny inteligenckiej w skomplikowanych czasach po wojnie, z licznymi niebezpieczeństwami wynikającymi z pozornie błahych zdarzeń i znajomości z przeszłości.

Jest członkiem Związku Literatów Polskich *(źródło: wikipdia).*